

Żak

Miesięcznik Studentów
Politechniki Wrocławskiej

ISSN 1730-5152 / numer 5 (126) / czerwiec 2015 / rok XVI / nakład 4000

Afera w polskim musicalu
- wywiad z zespołem Accantus
Wrocław na dwóch kółkach

Zawróćmy sobie w głowie...
w Vertigo Jazz Club

Fantastyka (i kultura) inspirowane

Drodzy Czytelnicy!

Koniec roku akademickiego wywołuje u mnie bardzo ambiwalentne odczucia. Z jednej strony – wakacje, wolność! Z drugiej – sesja... i ostatni numer „Żaka” na najbliższe trzy miesiące. Może jestem pracoholikiem, ale jednak wolę napięty semestralny harmonogram, deadline’y w redakcji i projekty. Oczywiście pod warunkiem, że znajdzie się w tym zamieszaniu czas na dobrą książkę, wyjście ze znajomymi (na przykład z redakcji), nieco sportu czy zarwanie nocy na spacer, wino i trochę dobrej muzyki.

Ale co robić, gdy wakacje zbliżają się nieuchronnie? Czteroletnie studenckie doświadczenie pozwoliło mi opracować pewien skuteczny system, jak nie nudzić się w wakacje, a jednocześnie odpocząć. Sprawa jest prosta – pierwszy miesiąc leniuchujemy. Łapiemy plecak, jedziemy stopem nad morze, planujemy wyjazd w góry, opalamy się na działce lub kupujemy zagraniczne wczasy – co kto lubi. Po miesiącu pełnym wrażeń bierzemy się za praktyki uczelniane, prace doradcze, szlifujemy języki, szydełkujemy, rozkładamy sztalugi, rozwijamy swoje pasje... a w przerwach leniuchujemy. *I voilà!* Zaczyna się październik, za nami przyjemne, ale efektywne wakacje, a na stojakach nowy „Żak”.

Zanim jednak to nastąpi, zapraszamy do lektury. W tym miesiącu mamy garść artykułów wakacyjnych – doradzamy nowicjuszą, jak zaplanować



fantastyczny wyjazd za niewielkie pieniądze oraz przełamujemy stereotypy dotyczące jazdy na rowerze. Żeby za bardzo się nie rozleniwić przed sesją, polecamy kurs szybkiej nauki, dla wielbicieli kosmosu artykuł o planetach karłowatych, a dla wszystkich – parę słów o tajemniczych substancjach E.

Wszystkim czytelnikom z całego serca życzę dobrych ocen, wspaniałych wakacji i realizacji wszystkich planów. Dziękujemy, że byliście z nami cały rok akademicki i zapraszamy do lektury w październiku, kiedy już powrócimy z nowymi pomysłami i kilkoma niespodziankami. Ruszymy też z nową rekrutacją – polecamy się, do tak zgranego zespołu naprawdę warto dołączyć.

Do zobaczenia!

Jagoda Kozik

**Miesięcznik Studentów
Politechniki Wrocławskiej „Żak”**
Wybrzeże Wyspiańskiego 27
50-370 Wrocław
Akademik T-3, sala 6
e-mail: zak_pwr@pwr.edu.pl

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń.

Zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian w materiałach niezamówionych. Przedruk materiałów wyłącznie za zgodą.

CHCESZ WIĘCEJ?

WYDANIE ELEKTRONICZNE I WIĘCEJ
INFORMACJI ZNAJDZIESZ NA:
WWW.ZAK.PWR.EDU.PL



„ŻAK” NA FACEBOOKU
DOŁĄCZ DO FANÓW NA:
FACEBOOK.COM/ZAK.PWR

Redaktor naczelna
Jagoda Kozik

Zastępcy redaktora naczelnego
Anna Buczkowska, Anna Maria Grochala, Natalia Moczurad

Redaktor wydania
Anna Buczkowska

Okładka
Amadeusz Świerk

Foto
Amadeusz Świerk, Kamila Kozusko

Grafika
Adam Sterniuk

Skład i łamanie
Anna Maria Grochala

Współpraca
Damian Cichecki, Anna Stachowiak, Magdalena Szpak, Karolina Wodnik

Żak

Miesięcznik Studentów
Politechniki Wrocławskiej

CZERWIEC 2015

SPIS TREŚCI

NA POZĄTEK

- ▶ 4 WROCLAW NA DWOCH KOLKACH
- ▶ 6 ZAWROCMY SOBIE W GLOWIE!

PO GODZINACH

- ▶ 7 FANTASTYKA (I KULTURA) INSPIRUJE
- ▶ 8 MASZ WIADOMOŚĆ
- ▶ 9 ZOSTAN ANTYBOHATEREM W SWOJEJ KUCHNI
- ▶ 9 MUST HAVE GADGETS!
- ▶ 10 MEDIOŁAN PO STUDENCKU
- ▶ 11 HOW TO SPEND YOUR SUMMER
- ▶ 12 JAKIE E TAKI SKUTEK
- ▶ 13 MAŁE TAJEMNICE UKŁADU SŁONECZNEGO
- ▶ 14 DZIEŚĆ TYSIĘCY GODZIN I ZOSTAJESZ MISTRZEM
- ▶ 15 DAMSKO-MĘSKIM OKIEM

KULTURA

- ▶ 16 ACCANTUS - AFERA W POLSKIM MUSICALU
- ▶ 18 WOJNA NA MIKROFON I GITARĘ
- ▶ 19 BURZA
- ▶ 19 ABECADŁO FILMOWE - „E” I „F”
- ▶ 20 DKF - „HALO ANDRZEJ? MOWI ANDRZEJ”

ROZRYWKA

- ▶ 21 OPOWIEŚCI Z KULI NARNII
- ▶ 21 SUDOKU
- ▶ 22 KRZYŻOWKA
- ▶ 22 SATYRA

Redakcja

Valentyna Boriodian, Anna Buczkowska, Monika Catusinska, Magdalena Drymajło, Kinga Idasiak, Jagoda Kozik, Aleksandra Mizgala, Bartosz Olszewski, Aleksander Pawlik, Aleksander Spyra, Ewelina Szwał, Joanna Maria Więckowska

Korekta

Agata Gruca, Paweł Hajduczenia, Joanna Kochel, Aleksander Spyra, Agnieszka Turczyn

Promocja

Klaudia Suszek

Wrocław na dwóch kółkach



FOT. AMADEUSZ ŚWIERK

DO KOLARKI DAŁEJ MI NIŻ STĄD NA ISLANDIĘ. PRYZNAJĘ BEZ BICIA, ŻE NIE UMIEM JEŹDZIĆ BEZ TRZYMANKI, NIE PUSZCZĘ KIEROWNICY PRAWĄ RĘKĄ, A O BUDOWIE ROWERU WIEM TYŁE, CO NIC.

Gdyby ktoś rok temu powiedział mi, że rower stanie się moim głównym wiosenno-letnio-jesiennym środkiem transportu, nie uwierzyłabym. I dlatego to właśnie ja spróbuję przekonać wszystkich sceptyków dwóch kółek do tego fantastycznego pojazdu.

PRZYJEMNE Z POŻYTECZNYM

Przede wszystkim, rower to ruch i przebywanie na świeżym powietrzu. A tego nam, umęczonym i więzionym w murach budynków kampusu studentom brakuje najbardziej. Zaręczam, że nie ma nic przyjemniejszego niż rozwiane od wiatru włosy i potężna dawka tlenu z rana, kiedy to wypadałoby być przytomnym na laboratoriach o 7.30, a, Bóg nam świadkiem, często się po prostu nie da.

Jakie to miłe, kiedy zamiast spać z głową opartą smętnie na tramwajowej szybie, budzimy się z każdym kolejnym naciśnięciem pedałów! Jasne, że lepiej mieć we Wrocławiu własny, przywieziony z domu rodzinny bacykl, jednak dla mieszkających daleko też jest rozwiązanie.

Po pierwsze – rowery miejskie, które od maja zdobią wrocławskie ulice, po drugie – zakup roweru za przysłowiową fiaszkę. Do tej zabawy nie potrzeba holenderki czy innego cacka, najważniejsze, żeby sprzęt nadawał się do użytku. Polecam drugą opcję głównie dlatego, że rowery miejskie obciążone są nieprzyjaznymi ograniczeniami czasowymi za darmowy przejazd, a przecież nikt nie lubi się stresować podczas jazdy.

OBALAMY MITY, ŁAMIEMY STEREOTYPY Stosowane przez co niektórych wymówki przyprowadzają o zawrót głowy, przysięgam. Zdaję sobie sprawę, jak ciężko wyjść poza ograniczenia własnego umysłu. Mój na przykład, odkąd jako dziecko wpadłam w krzaki, jadąc rowerem, podpowiadał mi uparcie, że nie cierpię tego sportu. Przemyślałam więc sprawę i użyję kontrargumentów, które przekonały mnie. „Boję się jeździć po ulicach” – owszem, ja też się boję. Ale Wrocław ma tak fantastycznie rozbudowaną sieć ścieżek rowerowych, że taka potrzeba właściwie nie zachodzi. A jeśli nawet – prawo mówi, że

jeśli są spełnione trzy warunki: chodnik ma co najmniej dwa metry szerokości, obok nie ma ścieżki rowerowej ani wydzielonego pasa dla rowerzystów, a dopuszczalna prędkość na drodze przekracza 50 km/h, można jeździć po chodniku.

Szczerze mówiąc nie mam pojęcia, jakie jest ograniczenie prędkości w tych nielicznych miejscach, w których kluczę wśród przechodniów, natomiast w ciemno mogę obstawić, że wszyscy je łamią. Można zatem spokojnie oznajmić Straży Miejskiej (choć nie zauważyłam dotychczas, żeby kogokolwiek w tej sprawie zatrzymali), że boję się o swoje życie.

Kolejny argument, tym razem damski: „Chcę ładnie wyglądać na uczelni, a na rower trzeba ubrać się w sportowe rzeczy”. Nic bardziej mylnego, o ile oczywiście chcemy dojechać, a nie uczynić z jazdy katorżniczy trening. Swoją drogą, odpowiednia prędkość wraz ze strojem sprawiają, że argument: „Jak przyjadę, będę spocony” również nie ma prawa bytu. Jeśli kojarzycie moje zdjęcie ze wstępniaka, a na ścieżce rowerowej

zobaczycie podobną dziewczynę w spódnice i z torebką w koszyku, to jest spora szansa, że to będę ja.

Brzmi może nieco kuriozalnie, ale na rowerze można spokojnie jeździć w balerinach czy sandałach, w niczym nie przeszkadza również spódniczka czy sukienka, a już najmniej makijaż. Poprawienie włosów, ewentualnie makijażu oraz umycie rąk nie zajmuje więcej niż pięć minut. Jedyne ograniczenia stanowią długości spódniczek – o ile długą da się podwinąć i upiąć z boku, miniówka nie jest już najlepszym rozwiązaniem, chyba że z legginsami, które można potem zdjąć.

Opuściłabym także buty na wysokim obcasie. Zmniejszyć należy także ilość rzeczy w torebce, bo zbyt ciężka obciąża koszyk, który opiera się o ramę, powodując ograniczenie kontroli nad rowerem i niemiłe rżenie.

Najzabawniejszy z argumentów brzmi: „Nie mam kondycji”. A w jaki sposób wyrabia się kondycję? Ćwicząc, czyli na przykład jeżdżąc na rowerze. I koło się zatacza... Ale to nie jedyny powód, dla którego ta wymówka jest absurdalna. Kolejny jest taki, że ta zabawa najwyraźniej w świecie nie jest wyczerpująca. To naprawdę nie jest Tour de France, a rowery przecież są wyposażone w przerzutki, dzięki którym możemy regulować stopień naszego wysiłku. Każdy, kto odważył się wsiąść na rower, nawet po długim okresie kanapowego trybu życia, potwierdzi, że przejechanie 40-60 minut nie stanowi wielkiego problemu.

Zatem, do dzieła!

MUST HAVE KAŻDEGO ZMOTORYZOWANEGO INACZEJ
Żeby nie było aż tak pięknie i kolorowo, istnieją też pewne zasady (ale nie takie znowu straszne), których należy lub warto przestrzegać. Mianowicie – jeśli mamy ochotę jeździć po zmroku lub przed wschodem słońca, jesteśmy zobowiązani do oświetlenia naszego pojazdu. Do tego jest potrzebne jedno światło przednie ciągłe lub migające o barwie białej (np. lampka na baterie) oraz czerwone światło ciągłe lub migające tylne.

Jedynym oświetleniem, które musimy mieć zamontowane cały czas, jest czerwony odblask z tyłu roweru. Czyli nie jest tak źle, prawda? Kolejna rzecz – nieodzowny jest

oczywiście dzwonek lub inny sygnał ostrzegawczy, którego dźwięk nie doprowadzi do zawału żadnego przechodnia. Jeśli natomiast konstrukcja maszyny nie pozwala na sygnalizowanie skrętu ręką, potrzebny nam także kierunkowskaz (wysokie prawdopodobne zjawisko). I to wszystko.

Jest natomiast jeszcze ogrom dodatków niekoniecznych, lecz użytecznych. Należą do nich: żółta kamizelka odblaskowa, która przyda się podczas gęstej mgły, deszczu, ale też w pogodne wieczory osobom przezor-

celu zwrócenie uwagi na wciąż jeszcze ignorowanych miłośników rowerów. Hasło tych spotkań brzmi: „My nie blokujemy ruchu, my jesteśmy ruchem”.

Inną rzeczą, znacznie ułatwiającą przemieszczanie się naszym ulubionym od dzisiaj jednośladem jest obecność na wielu stacjach benzynowych bezpłatnych kompresorów do pompowania kół w rowerach. Nic prostszego – podjeżdżamy, pompujemy, odjeżdżamy. Wymieniać dalej? Proszę bardzo! Niedawno we Wrocławiu została otwarta

kawiarenka rowerowa Bike Café (dla nowicjuszy – barista przemieszcza się rowerem wyposażonym w ekspres ciśnieniowy i parzy pyszną kawę), która wspiera promocję jazdy rowerowej i tworzenie infrastruktury dla rowerzystów. Brawo! Sklepy internetowe obfitują we wszelkie gadżety, pomoce i części do

rowerów, wśród których nie brakuje plecaków, koszyków, a nawet GPS-ów. Aplikacja Endomondo Sports Tracker ułatwia nam natomiast kontrolowanie liczby przejechanych przez nas kilometrów, a że może być

zsynchronizowana z Facebookiem, wylewniejsi mogą się pochwalić osiągnięciami ze znajomymi. Dodam jeszcze mnożące się jak grzyby po deszczu blogi i strony, ukazujące stylowych rowerzystów na ulicach i myślę, że mamy komplet atrakcji i promocję pełną parą.

Polecam gorąco przyłączenie się do śmigających dzielnie po Wrocławiu cyklistów. Wiek nie ma znaczenia, nie liczy się też zawód, płeć rowerzysty ani marka

roweru. Może jeszcze daleko nam do Holandii, w której rowerów jest więcej niż mieszkańców kraju, ale rozglądając się po wrocławskich ulicach widzę, że idziemy w dobrym kierunku. Jazda na rowerze to nie tylko sport, zmęczenie i wysiłek. To także sposób życia, a obecnie nawet element kultury. O ile podążanie za modą często nie jest pożądanym zjawiskiem, o tyle podążanie akurat za taką modą popieram w zupełności. Zainwestujcie więc w dobre zapęczenia i... ruszajcie! Widzimy się na kolejnej Masie Krytycznej.

■ Jagoda Kozik

Polecam gorąco przyłączenie się do śmigających dzielnie po Wrocławiu cyklistów. Wiek nie ma znaczenia, nie liczy się też zawód, płeć rowerzysty ani marka roweru.



FOT. AMADEUSZ ŚWIERK

rzeczy, torebki bądź niewielkich zakupów. Nie są to wydatki obciążające zbytnio nawet studentką kieszeń, warto więc stopniowo inwestować w wyposażenie naszego jednoślada. Głównie ze względów bezpieczeństwa, ale też i komfortu.

PRO-BIKE, CZYLI ROZKWIAT KULTURY ROWERZYSTÓW

Nie tylko rozbudowana struktura ścieżek rowerowych we Wrocławiu świadczy o tym, że miasto sprzyja cyklistom. Mówią o tym też coraz nowsze inicjatywy, takie jak np. comiesięczna Masa Krytyczna, czyli nieformalny przejazd po ulicach miasta, mający na

Zawróćmy sobie w głowie!

VERTIGO JAZZ CLUB & RESTAURANT TO NIEDAWNO OTWARTY AZYL DLA ENTUZJASTÓW JAZZU. KLUB, W KTÓRYM NIEMALŻE CODZIENNIE ROZBRZMIEWA MUZYKA NA ŻYWO, W KTÓRYM MOŻNA DOBRZE ZJEŚĆ I WYPIĆ TO IDEA WARTA UWAGI – ALE CZY WROCŁAW POTRZEBUJE TAKIEGO MIEJSCA?

WrocLIVE!

Wrocław to pod wieloma względami miasto wyjątkowe. Na jazzowej mapie Polski – zarówno w przeszłości, jak i teraz – odznacza się niebagatelnym wpływem na rozwój i rozpowszechnianie tego gatunku muzyki w naszym kraju. W trudnych czasach PRL-u stanowiło ważny ośrodek kulturalny, a dzięki działalności Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego muzyka ta właśnie tutaj miała szansę się odrodzić.

Chociaż pojawiają się głosy, że w mieście muzyka improwizowana już nigdy nie będzie brzmiała tak, jak za czasów kultowej Rury, to prawdą jest, że jazz we Wrocławiu urósł wręcz do rangi symbolu. Dziś w mieście istnieje sporo klubów z muzyką na żywo – nie bez powodu to jedno z ulubionych miejsc na wieczorne studenckie wypadki. Trzy miesiące temu do wrocławskiego katalogu klubów muzycznych dołączyło znakomite miejsce – Vertigo Jazz Club & Restaurant. Lokal przy Oławskiej 13 to prawdziwy azyl dla entuzjastów jazzu. Jeśli więc macie ochotę na trochę wytchnienia przy dźwiękach dobrej muzyki, to miejsce jest dla was!

JAZZOWY ZAWRÓT GŁOWY

Let's get Vertigo! – tym oto zawołaniem niedawno otwarty klub jazzowy zachęca do odwiedzenia tych wszystkich, którzy poszukują muzycznych wrażeń. Bo przebywanie w Vertigo z pewnością może przyprawić

o zawrót głowy – to „dom muzyki” miłośników jazzu, w którym niemalże codziennie grana jest muzyka na żywo, a liczba artystów wielkiego formatu, którzy do tej pory koncertowali w klubie, robi wrażenie.

Pomimo ogromnej ilości lokali jazzowych we Wrocławiu, przyznać trzeba, że takie miejsce dotychczas nie było. Większość funkcjonujących w mieście klubów muzycznych na koncerty przeznaczają jedynie kilka dni w tygodniu. W weekendy natomiast scena przekształca się w parkiet trwających do rana imprez. Vertigo postawiło na profesjonalizację i stałych klientów, dla których niezbędnym standardem jest jazz wysokiej próby. Działalność klubu wspiera jego fonograficzna wizytówka – niezależna wytwórnia V Records, wydająca płyty polskich jazzmanów i debutantów.

KLIMAT TWORZĄ LUDZIE... I MUZYKA

Na otwarcie Vertigo Jazz Club & Restaurant czekaliśmy kilka dobrych lat. Gdy w Internecie pojawiła się pierwsza informacja zapowiadająca narodziny kolejnego klubu jazzowego – zawierająca również jego podstawowe założenia i prezentację koncepcji wnętrza – wśród bywalców wrocławskich *jam sessions* zapanował zgiełk. Wszyscy ci, którzy o Vertigo dowiedzieli się wcześniej, musieli sporo czekać, ale w tym czasie wokół miejsca wytworzyła się niezwykła aura tajemniczości. Na pytanie o datę wielkiego

otwarcia wciąż nikt nie znał odpowiedzi.

Już po pierwszym wieczorze spędzonym w klubie uznałam, że wyjątkowa atmosfera, która tam panuje, wynika z zasadniczej intencji jego pomysłodawców – idei miejsca stworzonego dzięki synergii dwóch nieodłącznych elementów: muzyki i ludzi, którzy pragną jej słuchać. Gospodarze zadbał o odpowiednie warunki, a oferta serwowanych dań i alkoholi, wystrój czy obsługa dodatkowo skłaniają do odwiedzin. Oryginalne wnętrze, zainspirowane designem najpopularniejszych klubów jazzowych Nowego Jorku, jednocześnie bardzo eleganckie i przemyślane, buduje odpowiedni nastrój do słuchania jazzu.

JAZZ, OH YES!

W czasie kilkumiesięcznego funkcjonowania klubu dyskretnie podglądałam Vertigo – za każdym razem doświadczając pozytywnych wrażeń. Wielokrotnie natrafiałam na występy rozmaitych artystów, którzy prezentowali odmienne stylistyki i muzyczne inspiracje. To, że miejsce zyskało już swoją klientelę, widać gołym okiem. Głównie w weekendy, kiedy od wczesnych godzin wieczornych trudno znaleźć wolne miejsce. A goście przychodzą naprawdę różni. Nadużyciem nie jest nawet stwierdzenie, że klub gromadzi przedstawicieli kilku pokoleń, a łączy ich jedno – zamiłowanie do jazzu. Z pewnością Vertigo jest też trafną odpowiedzią na potrzeby gości z zagranicy, którzy często poszukują miejsc o zbliżonym profilu. Tutaj mają szansę posłuchać polskich, współczesnych formacji jazzowych. Usytuowanie lokalu w samym centrum Starego Miasta z pewnością ułatwia im do niego dostęp. Poza codziennymi koncertami miejscowych grup jazzowych, w klubie odbywają się również większe, biletowane, niedzielne eventy, na które składają się koncerty uznanych już indywidualności muzyki jazzowej.

Vertigo Jazz Club & Restaurant to bez wątpienia ambitna inicjatywa. Jeszcze zbyt wcześnie, by mówić o sukcesie, ja jednak wierzę w obiecującą przyszłość nowego lokalu. To zarazem sprawdzian dla Wrocławia i jego mieszkańców – bo to oni w najbliższym czasie ocenią zasadność tego miejsca.

■ **Magdalena Szpak**

(Pasjonatka jazzu, autorka bloga *Blue-Bossa* o współczesnej muzyce improwizowanej)



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WNĘTRZE VERTIGO JAZZ CLUB & RESTAURANT

Fantastyka (i kultura) inspiruje



FOT. ANDRZEJ PRZYBYLSKI / MATERIAŁY PRASOWE

JAK CZĘSTO NIŻEJ PODPISANY SŁYSZAŁ NA POLITECHNICE USZCZYPLIWE LUB POGARDLIWE SŁOWA NA TEMAT HUMANISTÓW – TEGO NIKT ZLICZYĆ NIE POTRAFI. JEST JEDNAK TAKIE WYDARZENIE, KTÓREGO TWÓRCY W ATRAKCYJNY SPOSÓB POKAZUJĄ NAWET NAJWIĘKSZYM NIEDOWIARKOM, MOŻE NAWET MIMOWOLNIE, KORZYŚCI Z MARIĄŻU POMIĘDZY DWOMA DZIEDZINAMI WIEDZY: NAUK ŚCISŁYCH I SKUPIONYCH NA CZŁOWIEKU.

Leśnica. Piękny barokowy pałac, stojący na o wiele starszych kazamatkach, widział niejedno. Gościli tam cesarze i królowie, szlachcice i szlachcianki; lecz takiego wydarzenia, jak organizowane już po raz kolejny Dni Fantastyki, próżno szukać na kartach historii. Powie ktoś – zwykły konwent fanów fantastyki: dużo dziwnie zachowujących się młodych ludzi. Wyróżnia się jednak, chcąc nie chcąc, swoim poziomem merytorycznym, a krótkie spojrzenie nań może ukazać profity z posiadania szerokich horyzontów.

LUDZIE DLA LUDZI

Większość konwentów organizowanych jest przez kluby fantastyki lub organizacje pozarządowe; w przypadku leśnickiej imprezy zdawać by się mogło, że jest inaczej, bo nad wszystkim czuwa Centrum Kultury Zamek, będące instytucją miejską. Jednak nie tylko pracownicy zajmują się przygotowaniem fantastycznego wydarzenia, a każda z osób wnosi swój nieoceniony wkład, swoje zainteresowania.

– Zaproponowano mi możliwość współpracy przy organizacji Dni Fantastyki, więc się zgodziłem. Jako student, który udziela się w kole naukowym, mogłem się przekonać, ile ciekawych rzeczy jest tworzonych przez pasjonatów – mówi Jakub Kozerski, koordynator bloku nauka i technologie, a zarazem student ostatniego roku informatyki. – Stąd też powstał pomysł, żeby połączyć te dwa światy. Wbrew pozorom literatura i nauka mają wiele wspólnego, o czym możemy

się przekonać, patrząc na to, jak fantastyka inspiruje – zauważa. I nie jest to zdanie bezpodstawne; wiele wynalazków, idei, pomysłów wykorzystanych później przez naukowców, zostało wpierw opisanych przez pisarzy-wizjonerów.

„PO CO NAM TA CAŁA FANTASTYKA..”

Ludzie przyjeżdżają na konwenty z różnych pobudek; są tacy, którzy przez trzy dni nie wychodzą z zamkowych lochów i wraz z przyjaciółmi grają w planszówki; są tacy, których celem jest pokazać światu swoje najnowsze przebranie, idealnie upodabniające noszącego do ulubionego bohatera; są nawet tacy, którzy przez cały czas trwania wydarzenia pracują za darmo, aby inni mogli się dobrze bawić. Jednak są również tacy – i jest ich zazwyczaj zdecydowana większość – którzy zjawiają się nie tylko dla atmosfery i spotkania znajomych, ale też po to, by dowiedzieć się czegoś nowego. Mogą to osiągnąć chodząc na spotkania z pisarzami, panele dyskusyjne, a także prelekcje prowadzone przez fanów lub... zawodowych naukowców.

– Wysoki poziom merytoryczny to już tradycja leśnickiej imprezy; na przykład w zeszłym roku wystąpienie profesora Jana Masajady, pod wiele mówiącym tytułem „Po co nam ta cała fantastyka, gdy mamy fizykę kwantową”, cieszyło się dużą popularnością, a podczas dwugodzinnego wykładu trudno było wejść do zapelnionej sali – opowiada Jakub Kozerski. – Mogę zdradzić, że w tym roku Zamek odwiedzi między innymi profesor

Jerzy Vetulani, psychofarmakolog i neurobiolog. Ale nie zamykamy się jedynie na nauki ścisłe czy przyrodnicze; będzie można również wysłuchać naukowców-humanistów – dodaje. Można wysnuć stąd wnioszek, że osoby interesujące się literaturą, uczestniczące w życiu kulturalnym, są ciekawe świata w każdej jego odsłonie, także tej badanej przez nauki ścisłe.

DWUGŁOWY PATRONAT

Wielu uważa, że Politechnika i Uniwersytet są jak ogień i woda, że nie sposób pogodzić tych dwóch wrogich królestw. Dni Fantastyki pokazują jednak, że możliwe jest połączenie sił we wspólnej sprawie.

– Pomysł na zdobycie patronatu zarówno Uniwersytetu Wrocławskiego, jak i Politechniki Wrocławskiej wynika niejako z założeń imprezy. Ideą konwentów fantastycznych jest łączenie ludzi o wspólnych zainteresowaniach, bez względu na dzielące ich granice – tłumaczy Skałosz Milczanowski, jeden z organizatorów ds. promocji. Obie uczelnie wesprą imprezę kadrą, a także działaczami kół naukowych – choćby z takich organizacji, jak TKGames czy KN Flow.

Jak widać, w czerwcu leśnicki zamek stanie się na trzy dni miejscem, w którym niejeden miłośnik równań różniczkowych będzie mógł zapoznać się z literaturą czy filmem, a niejeden czytelnik Comte’a czy Kanta wysłucha wykładu o odległych rejonach Wszechświata lub nanorobotach.

■ Aleksander Spyra

Masz wiadomość

KĄŻDY PAMIĘTA DŁUGIE WIECZORY SPĘDZANE NA GG, KTÓRE PRZEZ BARDZO DŁUGI CZAS DOMINOWAŁO I NIEODŁĄCZNIE NAM TOWARZYSZYŁO W SIECIOWEJ KOMUNIKACJI ZE ZNAJOMYMI. NIKT Z NAS DO KOŃCA NIE WIE, W KTÓRYM MOMENCIE I DLACZEGO WŁAŚCIWIE ZACZĘLIŚMY PRZENOSIĆ WSZYSTKIE SVOJE ROZMOWY NA UKOCHANEGO FEJSA. PO JAKICH APLIKACJACH KRĄŻĄ JEDNAK WIADOMOŚCI LUDZI Z CAŁEGO ŚWIATA?



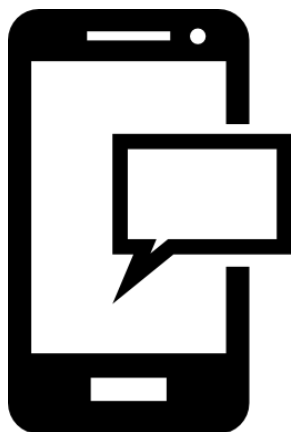
Aplikację Facebook Messenger znamy wszyscy, wszyscy używamy i obecnie nic więcej nam nie potrzeba. Pewnie zaczęła być po prostu najwygodniejsza w momencie, gdy i tak spędzaliśmy czas scrollując facebookową tablicę od góry do dołu. Ale! Istnieje jedna podstawowa zasada korzystania z tego typu komunikacji sieciowej – inne osoby muszą używać tej samej aplikacji. Ok, ok, wiem, że to żaden problem i być może bezsensownie doszukuję się nieistotnych szczegółów, bo i tak wszyscy używają tych programów. Sprawa niestety przestaje być oczywista w momencie rozciągnięcia swoich kontaktów na inne kraje. Okazuje się, że nasz Messenger nie jest wcale najpopularniejszy na świecie.

WHATSAPP

WhatsApp to jedna z wielu aplikacji, które dają możliwość wysyłania wiadomości. Choć w Polsce nie jest zbyt znana, jest jedną z popularniejszych w Europie, a na pewno używaną

na szerszą skalę niż Messenger. Czym różnią się obie aplikacje? Technicznie rzecz biorąc, mają o d m i e n n y sposób działania, co dla z w y k ł y c h użytkowników nie ma

zbyt wielkiego znaczenia. Główna z różnic polega na tym, że Facebook Messenger jest nieodłączną częścią naszego profilu w Twarzoksiążce, natomiast WhatsApp jest powiązany z numerem telefonu. Ideą działania jest wysyłanie wiadomości SMS za pośrednictwem Internetu, a więc za darmo. Różnica ta ma konsekwencje w działaniu aplikacji. Po pierwsze, nie istnieje powiązanie z jakimkolwiek portalem społecznościowym. Z tego powodu listę znajomych musimy utworzyć samodzielnie, poprzez wpisanie numeru danej osoby. Oczywiście istnieje również możliwość eksportu kontaktów z pamięci telefonu do



aplikacji. Pojawia się jednak pytanie, dlaczego WhatsApp musi posiadać własną listę? Odpowiedź jest prosta. Automatyczny eksport wszystkich kontaktów zapisanych w telefonie wiązałby się z niepotrzebnym zaśmieceniem pamięci aplikacji kontaktami osób, z którymi i tak nie zamierzamy porozumiewać się za pośrednictwem Internetu. Po utworzeniu listy naszych znajomych wystarczy tylko podpiąć się pod Wi-Fi lub włączyć mobilny Internet i wysłać darmowe SMS-y. Zapomniałbym! Oczywiście nasi znajomi również muszą używać WhatsApp.

Która aplikacja jest lepsza? Czy powinniśmy masowo zarzucić korzystanie z Facebook Messengera i czym prędzej pędzić z wózkiem do androidowego sklepu? Nie. Moim zdaniem między aplikacjami nie ma wyraźnych różnic. Jeśli cały nasz kraj nie wiadomo jak i nie wiadomo kiedy umówił się, że korzysta z Facebook Messengera, to niech już tak zostanie. Z punktu widzenia użytkownika nie ma żadnej różnicy w tym, czy wiadomości są wysyłane poprzez sieć Zuckerberga, czy są identyfikowane numerem telefonu. Poza tym i tak używamy Facebooka do większości innych rozmów, więc kolejnym plusem dla nas jest to, że są one automatycznie aktualizowane i mamy w nich porządek, nieważne czy piszemy z komputera, czy telefonu. Istnieje jeszcze jeden mały, drobny szczegół, który sprawia, że wybór aplikacji przestaje mieć jakiegokolwiek większe znaczenie i jest jedynie kwestią zbiorowej umowy użytkowników. Jakiś czas temu Facebook kupił prawa do aplikacji WhatsApp za kwotę 19 miliardów dolarów. Nie zmienia to faktu, że większość z nas nie wie nawet o jej istnieniu. Sam dowiedziałem się o niej kilka miesięcy temu, kiedy na moje stwierdzenie, że odezwę się na Fb, moja przyjaciółka Rebecca spojrzała na mnie ze zdziwieniem i zapytała, czy nie używam WhatsApp. Zdziwienie spotęgowało się chyba jeszcze bardziej, kiedy szczerze odpowiedziałem, że nie wiem nawet, co to za aplikacja. Prawda jest jednak taka, że jeśli zobaczycie na czyimś telefonie ikonkę z zielonym dymkiem, to możecie być praktycznie pewni, że utrzymuje jakieś kontakty z ludźmi z zagranicy.

VKONTAKTE

Nie zdziwiło was nigdy, że pomimo ogromnej, ogólnosiwiatowej społeczności Facebooka raczej nie spotyka się tam imion i nazwisk pisanych cyrylicą? Rosjanie nie pozostają w tyle i niezmiennie wierni swoim ideałom nie podążają za zachodnimi trendami. Tak oto powstało VKontakte, przy którym spędza czas większość rosyjskiego społeczeństwa. Kiedy zacząłem go używać, głównie do rozmów z moimi znajomymi z Rosji, strasznie mi się spodobał. Czysty, przejrzysty, funkcjonalny, lepszy. Gdybym miał dziś wybierać i postawić matematyczny znaczek większe, mniejsze pomiędzy VK a Fb, to niestety mój głos dostałby rosyjski odpowiednik. Jego zasada działania nie odbiega od głównych idei portalu społecznościowego. Jest jednak coś, co wyróżnia VK – Rosjanie na swoim portalu udostępniają możliwość odsłuchiwanie muzyki. Możemy tworzyć swoje muzyczne playlisty, co jest bardzo atrakcyjne, biorąc pod uwagę fakt, że można znaleźć tam naprawdę wszystko. Od znanych nam zagranicznych piosenek, poprzez osiągnięcia rosyjskiego rynku muzycznego, na polskim disco polo kończąc. Dodajemy do playlisty i słuchamy. Od ponad dwóch lat słucham muzyki z rosyjskiego portalu społecznościowego i nie przewiduję przestać, bo jest to dla mnie wygodne, a poza tym mogę włączać swoje playlisty gdziekolwiek i u kogośkolwiek jestem.

KTÓRY?

Wiem, że na całym świecie istnieje dużo innych portali i messengerów, mniej lub bardziej popularnych. Korzystanie z któregośkolwiek z nich jest jednak jedynie wynikiem pewnej społecznej umowy. Używamy tego, czego używamy, i raczej nie zmieni się to z dnia na dzień, choć pewnie przyjdzie taka chwila, w której Facebook podzieli losy naszego starego GG, a my przerzucimy się na coś nowego. Ponadto szczerze polecam zbliżenie się do mobilnej kultury naszych wschodnich sąsiadów i słuchanie muzyki poprzez VK, które jest po prostu wygodne i z którego sam nie przewiduję w najbliższym czasie rezygnować.

■ Damian Cichecki

Zostań antybohaterem własnej kuchni!

GOTOWAĆ KAŻDY MOŻE, NAPRAWDĘ. ACZKOLWIEK NIE KAŻDY MA CIERPLIWOŚĆ UCZYĆ SIĘ NA WŁASNYCH BŁĘDACH, A TO JUŻ OSOBNĄ HISTORIA.

Może i są osoby, które od pierwszego kontaktu z garnkiem i patelnią czują bluesa na tyle, że tworzą jedno arcydzieło sztuki kulinarnej za drugim – takim zwracam honor – ale ja z całą pewnością do nich nie należę. I pomimo że na chwilę obecną radzę sobie całkiem nieźle, do tej pory zdarzyło mi się sporo wpadek. Ba, one nadal się zdarzają! Głównie z powodu głowy w chmurach i roztrzęsania, które nie są pożądane u wytrawnych kucharzy. Właśnie dlatego postanowiłam zebrać kilka moich kuchennych katastrof i opisać je tutaj, w formie przepisów na porażkę.

Nie próbujcie tego sami.

MUFFINKI (BEZ)JAECZNE

Wymyśl, że chciałbyś upiec muffinki. Pozwól, żeby przepis chodził za tobą tygodniami i codziennie myśl, że trzeba by kupić jajka, bo do muffinków potrzebne jest jedno. Następnie kup wytłoczkę, przyjdź do domu i zrób ciasto; wyłóż je do papierowych foremek ułożonych w specjalnej blaszce, po czym odkryj, że przygotowane jajko leży spokojnie obok blaszki. Wygrzebuj całe ciasto z foremek, aby zmniejszać je z jajkiem i ponownie nałożyć.

JAECZNICA – ŚNIADANIE MISTRZÓW
Obudź się około 15 minut za późno, po czym w szaleńczym tempie próbuj ogarnąć się do wyjścia, nie opuściwszy śniadania, które przecież jest bardzo ważnym posiłkiem. W tym celu najpierw wstaw na gaz suchą patelnię, a potem pójdziesz się cesać. Wróć po pięciu minutach i wrzuc na rozgrzaną (na granicy przypalenia) patelnię kawałek masła, a następnie jajko – obserwuj, jak jajko przypala się podczas kolejnych pięć sekund. Ale nie poddawaj się! Próbując naprawić jajecznicę, rozbij kolejne jajko o skraj patelni i upuść je na podłogę. Następnie odpuść sobie śniadanie i wyjdź.

„PACHNĄCE” BUŁECZKI DROŻDŻOWE
Cały dzień opowiadaj wszystkim, że wieczorem upieczesz pyszne, pachnące bułeczki drożdżowe z konfiturą w elektrycznym piecyku. Nie przejmuj się tym, że piecyk nadaje się głównie do podgrzewania – tobie na pewno się uda! Następnie uformuj bułeczki i obserwuj, jak przypalają się od spodu, od góry pozostając surowe. W akcie desperacji poodwracaj je górą na dół, żeby

niedopieczoną górę choć trochę przyrumienić. Otwórz gościowi drzwi i wysłuchaj pytania: „Skąd ten zapach spalenizny”? A na kolację zrób kanapki.

FRANCUSKA (POLSKA?) ZUPA CEBULOWA
Skorzystaj z dziwnego, niesprawdzonego przepisu z gazety. Poświęć na gotowanie zupy całe popołudnie i patriotycznie pozwól, aby zapach polskiej, krajowej cebuli wsiąknął w każdy zakamarek twojego mieszkania. Ugotuj zupę, w której ciągną się nieapetyczne paski pokrojonej cebuli, a następnie całą wylej do toalety, gdzie jej miejsce.

Mam jeszcze jeden przepis – wstawienie na patelnię czegośkolwiek (warzywa z patelni, makaron ze szpinakiem...), wygodne usadzenie się na krześle z dobrą lekturą i spokojne czekanie na przypalenie, opcjonalnie zapomnienie o przyparzeniu. Sprawdza się w każdej sytuacji!

Smacznego!

■ Jagoda Kozik

Must have gadgets!

RZUT MĘSKIM OKIEM NA KILKA CIEKAWYCH RZECZY I APLIKACJI, KTÓRE W DUŻYM STOPNIU MOGĄ, ALE NIE MUSZĄ, OKAZAĆ SIĘ POMOCNE W CODZIENNYM ŻYCIU STUDENTA. VOL. 6.

MINI MOBILE ROBOTIC PRINTER

10 cm na 11,5 cm i 300 gramów – tych parametrów z pewnością nie będziemy oceniać od pełnowartościowej samobieżnej drukarki atramentowej, a jednak! Izraelska firma Zuta Labs od stycznia bieżącego roku wysłała do odbiorców urządzenie, które udało się zbudować dzięki programowi Kickstarter. Drukarka to nic innego jak niewielkich rozmiarów robot wyposażony w głowicę do drukowania, który samodzielnie przemieszcza się po drukowanej kartce. Drukarka-robot posiada wbudowaną baterię, której ładowanie trwa trzy godziny, i pozwala na jedną godzinę drukowania. Urządzenie obsługuje wszystkie standardowe formaty papieru, zadruk strony trwa ok. 40 sekund, natomiast cartridge z atramentem pozwala wydrukować ok. 1000 stron. Wszystko, co musimy zrobić po zakupie urządzenia, to umieścić je w lewym górnym rogu kartki, a następnie przesłać do niego plik, który

chcemy wydrukować. (Cena: \$199)

Więcej na: www.zutalabs.com

NEXTPAQ MODULAR CASE

Dodatkowy moduł baterii, wskaźnik laserowy, latarka, a może trzy pary głośników smartfona? Jest to możliwe dzięki nowej modułowej obudowie do telefonów komórkowych firmy Nextpaq. Pozwala nam ona zoptymalizować nasze urządzenie przez dodanie do niego kolejnych modułów instalowanych w „plecy” obudowy. Do dyspozycji mamy osiem slotów, które możemy wykorzystywać w zależności od potrzeb. Obecnie firma posiada w ofercie dwanaście modułów, takich jak bateria, głośnik, latarka, laser, czytnik kart, czujnik wilgotności i temperatury, dodatkowe przyciski, pamięć flash, alkomat, zasłepka oraz kopia zapasowa. Ponadto sama obudowa posiada wbudowaną baterię o pojemności 1000 mAh, dzięki czemu zbędne może okazać się zabieranie w podróż dodatkowego powerbanku.

Zgodnie z zapowiedziami producenta oferta będzie stale rozszerzana, jak na razie jest ona dostępna dla użytkowników iPhone’a 6, SG S5 oraz SG 6 Edge. (Cena: \$109)

Więcej na: www.nextpaq.com

MICRO PHONE LENS

Micro Phone Lens pozwala na 150-krotne powiększenie dzięki niewielkiej silikonowej soczewce naklejanej bezpośrednio na obiektyw naszego smartfona lub tableta. Jest to kolejny „fundraisingowy” projekt realizowany dzięki dobrowolnym wpłatom internautów. Instalacja soczewki jest banalnie prosta, nie wymaga kleju i może być stosowana na zdecydowanej większości urządzeń dostępnych na rynku. Soczewka, rozmiarem przypominająca szkło kontaktowe, umożliwia obserwację przedmiotów o średnicy 1/100 ludzkiego włosa. (Cena: od \$14)

Więcej na: www.microphonelens.com

■ Aleksander Pawlik



Mediolan po studencku

STUDENCKA WIZYTA U NASZYCH WŁOSKICH PRZYJACIÓŁ OKAZAŁA SIĘ IDEALNYM TEMATEM NA ARTYKUŁ, KTÓRY POD POSTACIĄ JEDNOSTRONICOWEGO REPORTAŻU POJAWIA SIĘ W CZERWCOWYM NUMERZE „ŻAKA”, A OTO ON...

Środkiem transportu, który miał nas szybko, tanio i skutecznie przemieścić z jednego kraju Europy do drugiego, okazał się samolot linii lotniczych Ryanair. Staliśmy się łowcami okazji – mniej istotne było miejsce, do którego chcieliśmy polecieć. Codziennie, na przemian z przyjaciółką, sprawdzałam stronę internetową Ryanaira: przelot do Kopenhagi za 89 zł (w obie strony), bilet do Oslo za 19,99 zł! W końcu spontaniczna decyzja – bukujemy lot do Mediolanu. Podzwrotnikowy klimat i śródziemnomorskie powietrze wygrały z chłodną i deszczową Skandynawią.

Cena biletów w obie strony wyniosła dokładnie 185,89 zł. Wylot z warszawskiego lotniska, kierunek: oddalone od Mediolanu o około 100 kilometrów Bergamo. Pokonując dystans niemal 1 200 km w czasie dwóch i pół godziny, mieliśmy jednocześnie uczucie, jakbyśmy się w ogóle nie ruszali z miejsca. Przelot był bardzo przyjemny – lecieliśmy ponad ośnieżonymi szczytami Alp. Niesamowity widok.

A NA MIEJSCU...

...ciepło. Uff... Odetchnęłam z ulgą. Był późny wieczór, a malownicze Bergamo położone u południowych podnóży Alp Bergamskich zapraszało nas do siebie. Z żalem wsiałam do autobusu zmierzającego do Mediolanu.

Na miejsce dostaliśmy się za pięć euro od osoby. Wysadzono nas w pobliżu Milano Centrale, jednej z największych stacji kolejowych w Europie, obsługującej dziennie około 330 tys. pasażerów. Fasadą dworca (o wysokości 72 metrów) robi imponujące wrażenie.

Chcieliśmy jakoś wykorzystać czas, który został nam do rana, więc po zaczepieniu kilku przechodniów i jednego właściciela restauracji skierowaliśmy się w kierunku Corso Como, które miało ponoć tętnić życiem i okazało się faktycznie pięknym miejscem z licznymi barami i kawiarniami. Dostaliśmy stolik w jednej z nich i zamówiliśmy piwo (ceny jak najbardziej niestudenckie, chyba że ktoś pija piwo za 40 zł). Następnie z błogim spokojem wyzwołonym odrobiną alkoholu usiedliśmy obok fontanny przy Piazza Gae Aulenti i rozmyślaliśmy, jakie to piękne miejsce, te Włochy...

SECONDO GIORNO, CZYLI WŁOSKIEJ PRZYGODY DZIEŃ DRUGI

Noc spędzona na dworcu centralnym nie napawa może zbyt optymizmem, ale w końcu wschodzące mediolańskie słońce wyzwoliło w nas pewną dozę euforii i zaczęło się zwiedzanie.

Oczywiście miejsca godne zobaczenia zostały ustalone jeszcze w Polsce, na pierwszym miejscu uplasował się plac katedralny (Piazza Duomo), przy którym znajduje się olbrzymia gotycka katedra. Aby dostać się do jej wnętrza, trzeba wystać się w kolejce po bilety, których ceny wahają się od 2 do 15 euro. Kościół jest zachwycający: olbrzymia konstrukcja z potężnymi oknami z witrażami, zwieńczonymi maswerkami, krypta, w której znajduje się skarb katedry (Tesoro del Duomo) oraz zwłoki św. Karola Boromeusza, wybitnego duchownego renesansu. W cenie biletu można napawać się również widokiem arcydzieł włoskich rzeźbiarzy. Wejście na plac przez galerię Piazza

Duomo było wręcz nieziemskie – wszędzie mnóstwo ekskluzywnych butików i pięknych Włochów przechadzających się pomiędzy nimi. Naprawdę uroczy widok.

Po nasyceniu oczu poczuliśmy potrzebę nasycenia brzuchów, więc trzeba było opuścić Duomo i przespacerować się w rejon miasta, gdzie stołują się trochę ubożsi mieszkańcy Mediolanu. Wybraliśmy dzielnicę Brera. Tutaj liczne restauracyjki oferują typowo włoskie posiłki, głównie makarony i pizzę.

Zamówiliśmy coś, a w międzyczasie, złączając Wi-Fi, sprawdziliśmy nasze profile na couchsurfingu – internetowym serwisie, w którym ludzie z różnych rejonów świata oferują swoje towarzystwo i ewentualnie nocleg, oczekując w zamian podobnej uprzejmości, gdyby znaleźli się w obcym mieście. Dostaliśmy kilka propozycji, ale, niestety, ostatecznie żadna nie wypaliła. Niemniej uważam, że to rzecz godna polecenia wszystkim podróżnikom-tułaczom.

Najedzeni i szczęśliwi wybraliśmy się do parku Sempione przy Castello Sforzesco. Leżąc tam na trawie, można było poczuć się jak członek rodu Sforzów, którzy od XV do XVI wieku władali księstwem Mediolanu, a zamek stanowił ich siedzibę. Odnaleźć tam można też pewną część wspólnej historii – mianowicie królowa Bona, żona Zygmunta Starego, wywodziła się z tej właśnie linii.

W czasie naszego pobytu trwały targi Expo, co było widoczne w zwiększonej liczbie służb porządkowych na ulicach miasta. Wspominam o tym dlatego, że przy wejściu na Plac Zamkowy (Piazza Castello) można było zobaczyć, oprócz włoskich policjantów, olbrzymie namioty z wystawami, których tematyka w tym roku brzmiała „Wyżywienie planety, energia dla życia”.

NA KONIEC

Ostatniej nocy postanowiliśmy puścić wodze fantazji... No, może nie do końca – trudno jest bowiem zaszaleć ze studenckim budżetem (mieliśmy po 50 euro) w mieście leżącym w głównym pasie przemysłowym kraju, a co za tym idzie, zamieszkiwanego przez ludzi stanowiących o PKB. Lombardia, której stolicą jest Mediolan, wytwarza jedną czwartą PKB Włoch. Dochód na jednego mieszkańca Lombardii jest porównywalny z dochodem na mieszkańca Luksemburga. Piękne miasto, ale nie do końca dla studentów. Dlatego ostatnią noc spędziliśmy na lotnisku, popijając kawę z McDonalda, przyglądając się rytualnym przemarszom mediolańczyków, którzy spieszą na samolot, aby zwieńczyć swój tydzień weekendem w Monako.

■ Kinga Idasiak

How to spend your summer

SUNNY SUMMER HAS COME AND BROUGHT A VAST AMOUNT OF OPPORTUNITIES. SOME ARE OBVIOUS AND PREDICTABLE (SUCH AS SLEEPING ALL DAY LONG OR SUNBATHING) AND SOME SHOULD BE MENTIONED SOMEWHERE IN ORDER TO BE REMEMBERED. HAVE YOU DECIDED HOW TO SPEND YOUR HOLIDAYS? LET'S MAKE OUR TO-DO LIST FOR THIS SUMMER. IT IS REALLY WORTH TRYING!

1. PASS ALL EXAMS

The first and the most essential thing you should do right now is passing all your exams. It will let you do anything you want, be in any place you've dreamed of and spend time with any single person in the world without worrying about your studies all through the summer.

2. TRY HITCHHIKING

Travelling is a fascinating activity, where you can find yourself and get to know your fellows better. Travelling with friends may turn the ordinary trip into most exciting one. Hitchhiking helps the youths to reach the point without spending money on the road. Also, going somewhere with unknown people, talking to them and telling different stories has a great influence on personality as the level of self-confidence extremely increases.

3. STAND IN A QUEUE FOR POLISH LODY

Polish Lody is a famous café in Wrocław where you can taste different kinds of ice cream. The café is situated in the Bem Square (Plac Bema). It is believed to be the best ice cream in the city and the queue is enormous! So, if you haven't tried it yet, you are warmly welcome!

4. RIDE A BIKE ALL DAY LONG

Have you ridden a bike on the suburbs of Wrocław? This summer is the right time to do it. Magnificent sceneries surround you, the birds are singing and the weather is gorgeous. Recharge your batteries during such a ride and take a look at the nature – full of life in this time of year.

5. PARTY ALL NIGHT LONG

Parties during the academic year (even

the greatest ones) have their drawbacks. The most reasonable is the fact that you have some work to do and some lectures to attend to. Summer offers you the full freedom from deeds and you are allowed to take all that life has to offer.

6. FIND A NEW HOBBY

Everyone has at least one thing in life they have always wanted to try. Cooking, knitting, driving a sports car or bungee jumping from the Wrocław Olympian Stadium – everything is possible to try when you have time. Lots of interesting things could be done during the holidays. I wish you to find your passion and be proud of your achievements in your new hobby!



SUMMER ENJOYS HERSELF

7. HOST SOMEONE BY CPUSHSURFING

The most interesting way to see your city from a different angle is to show it to somebody else. Tourists let you pay attention to the things which seem ordinary since you look at them every day. Why don't you host a person who can make you fall in love with the city you've lived in for some time now and got used to its beauty? You will also help someone with the apartment for the night. Just go to the website and search for the right guest!

8. LEARN A FOREIGN LANGUAGE

No matter where you are from, the point is to develop your skills. Famous proverb says: „The more languages you know, the more you are a person” – for sure, it is true. So, just start from a couple of sentences in a language you've always wanted to speak and see whether you are able to carry on practicing and achieve your goal! Or just “polish your Polish”.

9. TAKE A LOT OF PICTURES

Summer is doomed to be the time of crazy things and a vast amount of pictures. Take photos of everything you like – the flower on your window, the beautiful girl sitting next to you on the bench or take some funny selfies with your friends. You will be looking at these pictures in the rainy days and they will keep your best memories with you forever!

10. READ BOOKS

If you want to be more educated or just have an extra topic to discuss with your friends – read books. The holidays are full of shiny days, so bring one of the interesting stories to the park, sit under the tree and relax while reading. Reading even 5 pages a day will make your life much brighter and your vocabulary more sophisticated. Good luck!

You can always enhance this list and create one of your own. Just don't forget about your family and friends who have probably missed you during your studies. And remember: make every single day of these holidays unforgettable!

■ **Valentyňa Borlodian**

Jakie E, taki skutek

CHEMII W PRODUKTACH SPOŻYWCZYCH JEST TYŁE, ŻE CAŁY NUMER „ŻAKA” ICH OPISU NIE ZMIĘŚCI. WYBRAŁAM JEDNAK KILKA POPULARNYCH, CZĘSTO WYSTĘPUJĄCYCH SKŁADNIKÓW, BY PRZYJRZEĆ SIĘ IM BLIŻEJ. TEN KRÓTKI ARTYKUŁ PRZEDSTAWI WAM, CO I PO CO JEST DODAWANE DO NAPOJÓW, GDZIE MOŻNA DOSTAĆ NAJZDROWSZĄ COLĘ I CZYM KOŃCZY SIĘ ŁAMANIE ZASAD BHP.

Zdrowe żywienie staje się coraz bardziej modne i przybywa ludzi, którzy czytają etykiety produktów spożywczych. Jednak przeciętnemu Kowalskiemu niewiele mówią tajemnicze symbole i naukowe nazwy umieszczane na opakowaniach. Studenci uczelni wyższych (a już szczególnie technicznych!) powinni być bardziej świadomi, co spożywają. Nic bowiem nie kusi tak bardzo, jak zimne, zroszone puszką z automatu w C-13 w letni, gorący dzień. Co jednak kryje się pod warstwą aluminium? Oprócz zła wcielonego, odrdzewiaczy i innych podejrzanych substancji, jak niezmiennie przypominają nam media, mamy, babcie i zarazem modą na „styl eko” koleżanki?

BENZOESAN SODU (E211)

To powszechnie stosowany konserwant, na który coraz większe rzesze żywieniowych fanatyków reagują jak byk na płachtę torredora. Opinie na temat jego szkodliwości są podzielone. Dzienna dawka nieszkodliwa dla zdrowia została określona na 5 mg na kilogram ciała. W latach 60. i 70. przeprowadzono badania, podczas których osobom w różnym wieku podawano dawki kilkunastokrotnie większe – przekraczające 700 mg na kilogram ciała. Nie odnotowano żadnych poważnych skutków ubocznych. Jednakże część naukowców uznaje te badania za nieaktualne.

Udowodniono już powiązanie tego związku z podrażnieniami błony śluzowej żołądka i powstawaniem alergii. Badania przeprowadzone na myszach wykazują także, że duże ilości benzoesu sodu mogą powodować zmiany w układzie nerwowym i budowie tkanek

mózgu i wątroby. Związek staje się niebezpieczny dopiero w produktach zawierających witaminę C – np. napojach gazowanych, ponieważ w wyniku ich reakcji może powstać benzen, który jest związkiem rakotwórczym.

W większości napojów zawartość benzoesu sodu utrzymuje się poniżej 150 mg/l. Przykładowa, ważąca 50 kg, drobna dziewczyna musiałaby wypić ponad półtora litra napoju zawierającego tę substancję, żeby przekroczyć dzienną normę.

KWAS FOSFOROWY (E338)

Nadaje kwaśny smak napojom, ale także działa jako konserwant. Występuje naturalnie w naszych płynach ustrojowych. W dużych stężeniach może powodować demineralizację (a więc osłabienie) kości i zębów. Poza sektorem spożywczym jest stosowany jako składnik nawozów sztucznych i odrdzewiaczy. Napoje z jego zawartością zawierają jednak bardzo małe ilości tego kwasu i nie poleciłabym ich jako odrdzewiaczy.

KARMEŁ AMONIAKALNO-SIARCZYNOWY (E150D)

Jest barwnikiem spożywczym nadającym napojom brązowy kolor. Może powodować nadpobudliwość, problemy z pracą układu pokarmowego i płodnością. Podczas jego produkcji tworzą się produkty uboczne: 2-MI i 4-MI, którymi może być zanieczyszczony ten barwnik. Stan Kalifornia nakazał odpowiednie oznaczanie produktów zawierających zbyt wysokie dawki 4-MI, ponieważ substancje te są uznawane za rakotwórcze.

Jednak spotkało się to ze sprzeciwem producentów napojów Coca-Cola i Pepsi, którzy nie chcieli odnieść strat przez nowy przepis. Prawo się nie zmieniło, więc żeby ominąć nieprzyjemne komunikaty na butelkach, zaczęto stosować oczyszczony (i droższy) barwnik o obniżonej wartości 4-MI. Oczywiście – tylko w stanie Kalifornia. Cała reszta świata pije Colę o nawet pięciokrotnie większej dawce tego rakotwórczego składnika.

ASPARTAM (E951)

To popularny słodzik. Jest ok. 180 razy słodszy od cukru, więc jego zawartość może być dużo niższa. Smak tego słodzika różni się nieco od cukru, dlatego często łączy się go z innym słodzikiem

– acesulfamem K. Takie połączenie daje bardzo podobne wrażenia smakowe do sacharozy.

Niektóre portale dietetyczne podają, że aspartam właściwie nie ma kalorii. Nie jest to prawda – jest niemal tak samo kaloryczny jak zwykły cukier. Jednak z powodu silniejszego smaku jest dodawany w mniejszych ilościach i dlatego mniej tuczy. Jest stosowany także przez cukrzyków, bo po jego spożyciu nie zwiększa się poziom cukru we krwi.

Słodzik został odkryty przez niestosowanie się do zasad BHP. Podczas badań dla firmy farmaceutycznej James M. Schlatter, chcąc przewrócić stronę książki, polizał palec pokryty badaną substancją. Zainteresowany niezwykle słodkim smakiem zaczął badania, które doprowadziły do pojawienia się tej substancji w przemyśle spożywczym.

Czy aspartam jest szkodliwy? Według oficjalnych badań nie ma negatywnego wpływu na zdrowie, ale sceptycy zarzucają, że większość naukowców biorących udział w badaniach była związana z koncernami spożywczymi. Dopóki nie zostaną przeprowadzone dokładniejsze, niezależne badania, aspartam będzie nadal cieszył się złą sławą – nie wiadomo, czy słusznie, czy też nie.

KOSZENILA (E120)

To naturalny czerwony barwnik spożywczy tworzony z suszonych owadów zwanych czerwcami kaktusowymi. Jest chętnie wykorzystywany ze względu na trwałość i odporność na światło. Barwnik nie jest szkodliwy, ale zdarzają się zanieczyszczenia, które mogą prowadzić do wstrząsu anafilaktycznego. Niestety, wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy, że jest pochodzenia zwierzęcego, co jest szczególnie ważne dla wegan i wegetarian.

A NAJGORSZE?

Za najbardziej niebezpieczny uznaje się jednak cukier. Substancja niby nie niebezpieczna – dlatego też często nadużywana. W napojach gazowanych, a także sokach owocowych, zawartość cukru to ponad 10 g/100 ml. Na jedną szklankę przypadają nawet 4 łyżeczki! Picie dużych ilości słodkich napojów prowadzi do nadwagi, a nadwaga do wielu chorób. Znad swojej szklanki oranżady radzę – uważajcie na napoje! I smacznego!

■ Aleksandra Mizgała



Małe tajemnice Układu Słonecznego

DAWNO TEMU NASZ UKŁAD SŁONECZNY MIAŁ DZIEWIĘĆ PLANET. OSTATNIM, NAJZIMNIEJSZYM GLOBEM BYŁ PLUTON I KWESTIĄ CZASU POZOSTAWAŁO, KIEDY ZOSTANIE ODKRYTE WIĘCEJ ODLEGŁYCH PLANET. W PEWNYM MOMENCIE POJAWIŁY SIĘ KOLEJNE TAJEMNICZE I DALEKIE CIAŁA: HAUMEA, MAKEMAKE, ERIS... ASTRONOMOWIE MIELI PROBLEM, PONIEWAŻ NOWO ODKRYTE OBIEKTY PRZYPOMINAŁY PLANETY, ALE BYŁY DUŻO MNIEJSZE. W ZWIĄZKU Z TYM SPECJALNIE DLA NICH STWORZYLI NOWĄ KLASĘ – PLANETY KARŁOWATE. DZIŚ OFICJALNIE DO TEGO GRONA NALEŻY PIĘĆ OBIEKTÓW, A OKOŁO 400 KOLEJNYCH KANDYDUJE DO WSTĄPIENIA W ICH SZEREGI.

Wszystko zaczęło się od Plutona – niepozornej, malutkiej planety krążącej na odległych krańcach Układu Słonecznego. Cieszył się on mianem dziewiątej planety aż do roku 2006, kiedy astronomowie zaczęli odkrywać więcej obiektów Pasa Kuipera o rozmiarach podobnych do Plutona i uznali, że może ich być zbyt dużo, aby każdy zaliczać do grona planet. Dlatego stworzyli nową klasę obiektów – planet karłowatych – i oficjalnie włączyli do niej Pluton oraz inne podobne jemu ciała niebieskie. Dzisiaj tym mianem cieszą się również Ceres, Haumea, Makemake i Eris.

PLANETY KARŁOWATE

Aby obiekt dołączył do elitarnego grona planet karłowatych, musi spełniać kilka warunków. Po pierwsze, jego masa musi pozwolić na wytworzenie kulistego kształtu, co odpowiada równowadze hydrostatycznej. Po drugie nie może być satelitą innej planety. Ponadto jedną z ich ważnych cech są spłaszczone orbity; oznacza to, że odległość od Słońca w ciągu jednego obiegu bardzo się zmienia, np. Pluton w peryhelium (minimalnej odległości od Słońca) znajduje się bliżej Słońca niż Neptun, natomiast w aphelium (maksymalnej odległości od Słońca) jest półtora raza dalej niż on. Charakterystyczny jest również fakt, że planety karłowate nie oczyściły swojego otoczenia, a więc często wokół nich krążą inne ciała niebieskie. Naukowcy twierdzą, że te odległe obiekty to nie do końca uformowane planety. Pierwotna definicja przewidywała także, że planeta karłowata znajduje się na orbicie wokół Słońca, ale niektórzy nazywają w ten sposób również obiekt PSR 1257+12 D, uważany za pierwszą pozasłoneczną planetę karłowatą. Do ich grona należą głównie obiekty odległego Pasa Kuipera (czyli obszaru rozciągającego się za orbitą Neptuna): Makemake, Haumea i, największa z nich wszystkich, Eris. Oprócz nich całkiem niedaleko od nas – w pasie planetoid między Marsem a Jowiszem – krąży malutka Ceres.

HISTORIA PLUTONA

Został odkryty w 1930 roku przez amerykańskiego astronoma Clyde'a Tombaugh'a i nazwany na cześć rzymskiego boga podziemi. Początkowo wliczono go do grona planet Układu Słonecznego, jednak wciąż coś nie dawało spokoju naukowcom – Pluton okazał się wyraźnie mniejszy nie tylko od pozostałych planet układu, ale również od



WIZJA ARTYSTYCZNA POWIERZCHNI ERIS, OPARTA NA WYNIKACH OBSERWACJI ESO

wielu księżyców. Przykładu nie trzeba szukać daleko, już nasz ziemski Księżyc jest półtora raza większy od Plutona i prawie sześć razy cięższy. Prędkość ucieczki z powierzchni Plutona to zaledwie 1,23 km/s, a przyspieszenie grawitacyjne wynosi tylko około 0,66m/s². Z drugiej strony Pluton jest większy od wielu planetoid i typowych obiektów transneptunowych. Do 2005 roku, czyli do odkrycia Eris, pozostawał największym znanym obiektem tego typu.

Dokładne i łatwe wyznaczenie masy umożliwił krążący wokół niego Charon, który jest jednym z pięciu naturalnych satelitów Plutona. Niektórzy w związku Pluton-Charon widzą podwójną planetę karłowatą, ponieważ obydwa ciała krążą wokół wspólnego środka masy, który znajduje się ponad powierzchnią Plutona. Pozostałymi księżycami Plutona, odkrytymi dzięki obserwacjom prowadzonym przez teleskop Hubble'a, są Hydra, Nix, Kerberos oraz Styx.

Uważa się, że Pluton składa się głównie z lodu oraz niewielkiej ilości metali i skał. Posiada również cienką atmosferę zbudowaną

z azotu, metanu oraz dwutlenku węgla. Nie wiele wiadomo na temat Plutona, ponieważ nie zbadała go dotąd żadna sonda kosmiczna. Naszą wiedzę ma wzbogacić wysłana w 2006 roku misja New Horizons, która powinna dotrzeć do Plutona w 2015 roku.

NAJBLIŻSZA NAM CERES

Historia Ceres sięga 1766 roku, kiedy astronom Johann Daniel Titius von Wittenburg zauważył ciekawą zależność między odległościami planet od Słońca a liczbami. Jeśli zacząć od 0, a następnie wykorzystać liczby 3, 6, 12, 24 itd., podwajając liczby za każdym razem, do wyniku dodać 4 i podzielić przez 10, otrzymuje się wynik, który niemal idealnie zgadza się z odległościami kolejnych planet od Słońca wyrażonymi w jednostkach astronomicznych. Obecnie nazywa się to regułą Titiusa-Bodego. Odkryty w 1781 roku Uran zdawał się potwierdzić prawdziwość tej zależności, w wyniku czego rozpoczęły się poszukiwania planety, która krążyłaby w przestrzeni między Marsem a Jowiszem.

Ten intrygujący obiekt, noszący wdzięczne imię rzymskiej bogini wegetacji i urodzaju, sprawiał astronomom równie wiele problemów, co Pluton. Odkrywca Ceres na samym początku uznał, że nowy obiekt to kometa, ale brak komy zaprzeczył temu pomysłowi. Dlatego Ceres, podobnie jak Pluton, została zaklasyfikowana jako planeta. Jednak z czasem zaczęto odkrywać kolejne podejrzane obiekty w przestrzeni między Marsem a Jowiszem i zdano sobie sprawę, że Ceres jest jedynie częścią dysku zbudowanego z dużej liczby małych ciał. Dysk został nazwany pasem planetoid, a Ceres zaliczano do grona planetoid aż do 2006 roku, kiedy wraz z Plutonom stworzyła klasę planet karłowatych.

Zaskakujące historie tych dalekich ciał niebieskich rodzą pytanie, ile jeszcze tajemnic skrywa przed nami nasz rodzinny Układ Słoneczny...

■ Joanna Maria Więckowska

Dziesięć tysięcy godzin i zostaniesz mistrzem

LUDZIE MAJĄ RÓŻNE PLANY NA PRZYSZŁOŚĆ. NIEKTÓRZY SĄ ŻADNI PRZYGÓD, INNYM WYSTARCZA RODZINA I PRZYJACIELE, KOLEJNI POTRZEBUJĄ SUKCESÓW I UZNANIA. JEDNAK CZYMKOLWIEK BYŚMY SIĘ NIE ZAJMOWALI, CHCEMY BYĆ DOBRZY W TYM, CO ROBIMY.

I chociaż to spore uogólnienie – założmy, że tak jest. W tym momencie pojawia się pytanie – co sprawia, że niektórzy ludzie osiągają sukces, a inni nie? Co sprawia, że niektórzy mogą nazywać się autorytetami w swoich dziedzinach, a reszta nigdy nie osiągnie pewnego pułapu wiedzy? To pytanie jakiś czas temu zadał sobie psycholog Karl Anders Ericsson. Przeprowadzając proste obserwacje studentów Berlińskiej Akademii Muzycznej, stwierdził, że umiejętności muzyków są ściśle związane z liczbą godzin poświęconych na świadome ćwiczenia. W badanej grupie nie miało znaczenia, czy dana jednostka była utalentowana, czy nie. I choć jestem pewna, że talent i posiadanie pewnych predyspozycji wiele ułatwia, to nie mogę zaprzeczyć, że ciężka praca w dużej mierze przewyższa naturalne uzdolnienia.

CZAS I TAK MINIE

Doba ma dwadzieścia cztery godziny. Trzydzieści dni ma ich siedemset dwadzieścia. Rok – osiem tysięcy siedemset sześćdziesiąt. Podsumowując: aby zdobyć tytuł mistrza, według Andersa Ericssona, należałoby pilnie, przez ponad trzysta sześćdziesiąt pięć dni zgłębiać tajniki jakiegoś tematu czy zagadnienia. Bez snu, bez pracy zarobkowej, nawet bez przerw na przyjmowanie posiłków.

Spójrzmy na to nieco poważniej. Założmy, że na naukę czy trening będziemy poświęcać cztery godziny dziennie. Dla jednych to pewnie mało, dla innych niewyobrażalnie dużo – w tym momencie to nieistotne. Przyjmując te cztery godziny dziennie, powinniśmy uświadomić sobie, że aby osiągnąć magiczną granicę dziesięciu tysięcy, musimy poświęcić dwa i pół tysiąca dni. Codziennie. To niemal siedem lat systematycznej pracy, pokonywania przeszkód i zdobywania wiedzy.

DWUDZIESTOLETNI STAŻ

Kolejna sprawa, której poświęcono odpowiedni fragment – przykładowy dwudziestoletni staż w danym przypadku nie musi być tożsamy z rozwijaniem swoich umiejętności. Chodzi o świadome podwyższanie swoich kompetencji, stawianie wyzwań

i pokonywanie ich. Sprawia to, że machinalne wykonywanie zadań mija się z celem. Może tu tkwi problem – mam świadomość tego, że wiele osób, które znam – również i ja – nie zawsze z pełną świadomością podchodzą do stawianych sobie wyzwań. Najbanalniejszy z przykładów: szkoła podstawowa czy gimnazjalna, zadanie domowe z matematyki robione w trakcie obiadu, przed telewizorem. Uwaga jest rozproszona, bez udziału świadomości podstawiamy kolejne wzory, nawet nie patrząc na to, co robimy. Nie dziwię się, że wiele osób w liceum ma problemy z nauką.



FOT. WIKIMEDIA COMMONS

S.M.A.R.T.

Chyba każdy miał lekcje z podstaw przedsiębiorczości w liceum albo poruszył ten temat na studiach. Wymieniony akronim dotyczy zarządzania projektami – formułujemy cel, który powinien być skonkretyzowany, mierzalny, osiągalny, realny i określony w czasie. Pomaga to prawidłowo wyznaczyć cel, a co za tym idzie – zwiększyć szanse na jego osiągnięcie.

Podobnie radzi pan Ericsson – aby osiągnąć cel, należy skoncentrować się na praktyce i opanowywaniu techniki, zamiast na ostatecznym wyniku, stawiać sobie specyficzne, mierzalne cele, do których należy dążyć oraz

zdobyc częste informacje zwrotne od osób o większych osiągnięciach i dorobku.

I najważniejsze – to praca nad tym, czego jeszcze nie potrafimy lub nad tym, co sprawia nam problem, jest prawdziwą drogą do osiągnięcia celu i zrobienia z nas eksperta. Należy również pamiętać o koncentracji – jedynie działania podjęte świadomie mogą przynieść wymierne korzyści.

CZY 10 TYSIĘCY GODZIN TO ZAGRANICA?

Z jednej strony są dziedziny, w których dziesięć tysięcy godzin to zbyt wiele – bardzo dobry poziom można już uzyskać przy trzech do pięciu tysiącach. Z drugiej jednak strony, obecny postęp i technologia skutecznie blokują tego typu określenia. Trudno zakładać, że po przepracowaniu, powiedzmy, czterech lat w branży informatycznej będzie się można nazywać geniuszem, a wszystko dlatego, że obecnie technologia rozwija się w tak szybkim tempie, że jedynie odpowiednio zdeterminowane osoby są wciąż na bieżąco.

KIEDY JESTEŚ EKSPERTEM?

I na koniec zadajmy sobie pytanie: kiedy możemy nazwać się ekspertem? Pojawiło się już stwierdzenie, że czas nie może być ostatecznym wyznacznikiem. Karl Anders Ericsson powiedział, że mianem tym można określać osoby, które wyróżniają się na tle otoczenia, ich praca przynosi konkretne rezultaty i ostatecznie jej efekty nie są wynikiem przypadku, ponieważ są powtarzalne. Te stwierdzenia powinny być korygowane zależnie od dziedziny, ale na pewno pokazują pewien kierunek.

PRZEPIS NA SUKCES

Ludzie wciąż poszukują recepty na sukces. Prawda jest taka, że większość z nas doskonale wie, co powinniśmy robić. Ostatecznie mamy dwie możliwości – oczekiwać na szczęśliwe zbiegi okoliczności albo w ciągu następnych kilku lat regularnie pracować na swoją przyszłość.

■ Magdalena Drymajło

Z cyklu damsko-męskim okiem:

czyli telefoniczne niekończące się historie

Nawet Jon Snow, który niczego nie wie, jedno wiedzieć musi. Kobiety powinny ograniczyć się do odbierania telefonu, a dzwonić tylko w dwóch przypadkach – gdy czyjeś zdrowie lub życie jest zagrożone, albo gdy na „lumpkach” są „trójki” i trzeba się umówić.

Bardzo trudno jest powiedzieć coś o rozmawiających przez telefon kobietach, czego ktoś już wcześniej nie wiedział na żywo lub w Internecie. Powstało już tyle kawałów, memów i – wciąż modnych – vine’ów, że wypada zauważyć, iż coś jest na rzeczy. W chwili, gdy to czytacie, dostarczane są nam nowe materiały do śmiechu, ale trzeba poczekać, aż trafią do publicznej wiadomości. A trafią, bo my, faceci, jesteśmy wredni i infantylni, więc lubimy dzielić się anegdotami z wami w roli głównej. To czyni nasze życie ciekawym.

Drogie dziewczyny, czy naprawdę uważacie, że opisywanie zakupionych ubrań przez telefon jest lepsze od wysłania zdjęcia lub pokazania zdobyczy na żywo? Uwielbiamy was słuchać, ale to, co mówicie, ma znaczenie. To zrozumiałe, że niektóre męskie tematy was nudzą. Mogłybyście się więc domyślić, co czujemy my, gdy opis tuniki słyszymy po raz trzeci, a jeszcze nigdy jej nie widzieliśmy.

Dobrze wiemy, że lubicie mówić – to nie zbrodnia. Tylko istnieją sytuacje, gdy zwyczajnie trzeba coś ustalić i nadmiar słów szkodzi. Kiedy umawiacie się na spotkanie, ważne jest, aby uzgodnić czas i miejsce. To, co w tej chwili robi wasz pies, co macie na obiad, czym właśnie smarujecie policzki, nie ma znaczenia. O tych wszystkich ważnych sprawach porozmawiacie, jak już się zobaczycie.

Żarty o kobietach i telefonach nikogo już tak naprawdę nie bawią. Ani dziewczyn, ani nas. To nie jest śmieszne, że telefon częściej macie w rękach niż w torebce, a gdy próbujemy zadzwonić, nie odbieracie. Nie bawi nas, gdy dowiadujemy się o „naszych” planach z usłyszonej rozmowy telefonicznej. I już całkowicie niegrzecznie jest rozmawiać przez telefon, gdy my chcemy zagadać. Czyli bardzo często, bo my z natury jesteśmy odważni, tylko brakuje nam okazji. Zwyczajnie trudno jest się wstrześcić w tę wąską lukę czasową pomiędzy rozmową przez telefon a rozmową z koleżanką.

Przyzwyczajenie do telefonu jest aż nadto widoczne w przypadku obu płci, ale to na waszym uzależnieniu świat traci najwięcej. Patrząc w ekran telefonu, nie pozwalacie nam podziwiać swoich oczu. Trzymając słuchawkę przy uchu, błędnie wzrokiem kilka metrów nad naszymi głowami, kiedy my nie możemy być aż tak wysocy. Odłóżcie telefon na chwilę i pozwólcie nam się do siebie uśmiechnąć. Zwróćcie na nas uwagę, telefon poczeka, przecież do zakochania wystarczy jedno spojrzenie.

Dlatego nie lubimy, jak rozmawiacie godzinami przez telefon. My też potrafimy słuchać.



RYS. PIXABAY.COM



RYS. PIXABAY.COM

Wypraszam sobie! Nigdy jeszcze nie posunęłam się do opisywania w rozmowie z mężczyzną trzeci raz tej samej tuniki. Co najwyżej opisuję trzy nowe (i różne) elementy garderoby, ale zgaduję, że i to was nudzi. Nie dogodzisz!

Tak, lubimy mówić. A wy powinniście wiedzieć, że mowa jest od wieków podstawowym narzędziem komunikowania się i nawiązywania relacji – nie są nimi, natomiast, ani znaczące pomruki,

chętnie używane przez was w rozmowach telefonicznych z kobietami („mhm”, „aaa”, „eech”...), ani pełne cierpienia westchnięcia sugerujące, że długość rozmowy przekracza wasze zdolności poznawcze. Wygląda więc na to, że w przypadku rozmów damsko-męskich umówienie się na spotkanie to rzeczywiście najlepszy wybór. Gorzej, że nawet podczas rozmowy w cztery oczy macie skłonności do przysypiania. Czy to oznacza, że aparat mowy lepiej ewoluował u kobiet niż u mężczyzn? Może to nie sam telefon stanowi problem, a umiejętność komunikacji zwrotnej?

Dlatego właśnie kobiety owszem, lubią dzwonić – ale do innych przedstawicielek płci pięknej. To dla nas stworzono taryfy z nielimitowanymi rozmowami, SMS-ami i MMS-ami – wszak wiadomo, że czasem o tym, co właśnie robi nasz pies, nie opłaca się mówić, lecz wysłać fotkę, a podczas wykładu lepiej wysłać spod ławki wiadomość niż dzwonić i szeptać. Przede wszystkim, my siebie wzajemnie słuchamy. W tych rozmowach występuje sprzężenie zwrotne, a co najważniejsze, na opowieść o kolorze nowej tuniki dostajemy konkretną odpowiedź, a nie kolejne znudzone mruknięcie. Zwracam natomiast częściowo honor, bo o dziwo, na SMS-y często odpisujecie. Co prawda, jednym lub dwoma słowami (czy wy wszyscy macie ustawiony szablon wiadomości o treści: „ok?”), czasami po trzech godzinach (jeśli jednak szablonu nie macie, wystukanie tych dwóch literek przecież zajmuje odpowiednio dużo czasu), ale jednak. Ba, mało tego! Kiedy to wy chcecie się czymś pochwalić, wysyłacie nawet MMS-y!

Ale spokojnie, są na was sztuczki. Jak sprawić, żebyście posłuchali, co mamy do powiedzenia na temat nowej bluzki? Rzucić od niechcenia, jakiego koloru stanik mamy pod nią – efekt skupienia uwagi murowany. Jak zainteresować was naszym dzisiejszym obiadem? Obiecać, że was na taki sam zaprosimy. A kiedy chcemy, żebyście ocenili naszą nową sukienkę? Nie wysłać zdjęcia sukienki na wieszaku, ale nasze w niej zdjęcie. Bo w jaki sposób na to nie patrzeć, do nas jednak macie słabość, niezależnie ile czasu spędzamy z telefonem przyklejonym do ucha.

Najzabawniejszy jest argument Bartka wskazujący na wasz heroizm w kwestii zagadywania, który rzekomo nie ma możliwości ujrzeć światła dziennego. Oh, really? Dlaczego w takim razie nie widuję chłopaków, którzy czają się, żeby tylko zagadać dziewczynę pomiędzy jednym telefonem a drugim? Dlatego, że kiedy ona kończy rozmawiać i, nie daj Boże, się do was uśmiechnie, amant często robi oczy jak pięciozłotówki, a jego zasób słownictwa kończy się na eleganckim, wspomnianym wcześniej: „eee”, „yyhmm”, opcjonalnie innych onomatopiejach. Dziewczyna sięga więc po telefon, żeby ukryć zażenowanie...

Accantus

– afera w polskim musicalu

ACCANTUS – STUDIO NAGRANIOWE ZŁOŻONE Z LUDZI KOCHAJĄCYCH MUSICAL. CEL – ZARAŻENIE TĄ PASJĄ ILU SIĘ DA! LICZBA FANÓW – ROSNĄCA WYKŁADNICZO. KAŻDA ICH PIOSENKA – MAJSTERSZTYK, KAŻDY KONCERT – PEŁNA WIDOWNIA.

Wieść o Accantusie rozchodzi się pocztą pantoflową. Wystarczy jedno odsłuchanie jednej ich piosenki, żeby przykleić się na stałe do ich youtube'owego kanału (www.youtube.com/user/StudioAccantus). Dlaczego? Może dlatego, że nie podają widzom byle czego; każda z ich piosenek ma dopracowany polski tekst, jest perfekcyjnie zaśpiewana i zinterpretowana. A może przede wszystkim dlatego, że trafia przez ucho do serca. Jak udało się im stworzyć taki fenomen? Wiedzę najlepiej czerpać u źródła...

NATALIA PIOTROWSKA: Studiowałam na Gdańskiej Akademii Muzycznej i dwa lata niżej studiował też Jarek Kozielski, brat Bartka. Robiliśmy wspólnie koncert, na który przyjechał Bartek. Kilka miesięcy później dostałam od niego telefon – zaproponował mi nagranie utworu z musicalu *Chicago*, ponieważ mój głos przypadł mu do gustu. Wtedy przyjechałam pierwszy raz do Warszawy, do studia. Współpraca poszła gładko i od tamtej pory kumpluję się z Bartkiem.

ZUZANNA GIERCZYCKA: Mnie Bartek poznał w Teatrze Muzycznym Tintilo.

Kiedy trzy lata temu dołączyłam do ekipy, on już występował, a ja byłam świeżakiem. Oboje wzięliśmy udział w projekcie *W cieniu*, a potem Bartek namówił mnie na nagranie mojego pierwszego utworu dla Studia Accantus – tria z Sylwią Przetak i Sylwią Banasik *Chcę być Kopciuszkiem*. To było dla mnie ogromne wyzwanie. Kiedy zobaczyłam, ile to nagranie miało wyświetleń, rozplakałam się ze szczęścia.

Jaka atmosfera panuje w zespole? Czy udało Wam się zgrać?

N.P.: W Accantusie pracuję ze wspaniałymi ludźmi. W branży muzycznej zazdrość i rywalizacja są spore, a tutaj ich po prostu nie

ma. Może dlatego, że każdy z nas jest inny, ma inny rodzaj głosu, pasuje do innego typu utworów. Razem pracujemy, imprezujemy i jesteśmy ze sobą bardzo zżyci.

M.W.: Jest zazdrość! Tak, oczywiście! Jak oglądałam kolejną świetnie zrobioną przez któregoś z nich piosenkę, to mnie krew zalewa. Potem wychodzę na tę scenę i mam ochotę ich za siebie przeproszać... A tak serio – jest cudnie. Bardzo się lubimy. Chyba pod tym kątem Kozielscy dobierają też ludzi. Oni chcą się dobrze bawić, a my się z nimi dobrze bawimy.

Z.G.: Potwierdzam, wszyscy bardzo mocno się kumplujemy. Jesteśmy rozrzućeni po Polsce i często od poniedziałku do niedzieli każdy z nas ma „coś” i nie mamy kiedy się spotkać, więc bardzo czekamy na nasze dwudniowe wyjazdy na koncerty. Przed wyjazdem do Chorzowa przez dwa tygodnie cały czas na naszej facebookowej grupie pisaliśmy sobie nawzajem, jak bardzo nie możemy się siebie doczekać; byliśmy bardzo stęsknieni. Każdy z nas jest całkowicie inny, ale mamy wspólne cechy jako artyści, które nas bardzo zbliżają i wiemy, że między sobą się zrozumiemy. Tak mocno, jak nie zrozumiemy nas nawet nasi partnerzy.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Bilety na *Aferę Mayerling* – koncert przygotowany przez Studio Accantus – kupowaliśmy niedługo po ich udostępnieniu, a i tak udało nam się złapać ostatnie sztuki. W piątek 8 maja chorzowska Sztetgarka pękała w szwach już pół godziny przed koncertem. Nam udało się zajrzeć za kurtynę i zamienić dwa słowa z członkami zespołu, którzy między włożeniem koszuli a poszukiwaniem lakieru znaleźli chwilę, aby opowiedzieć nam o sobie, o pracy w zespole i planach accantusowej ekipy.

ŻAK: Skąd się wziął obecny skład zespołu? Jesteście w różnym wieku, pochodzicie z różnych miast; dlaczego śpiewacie razem?

DOROTA KOZIELSKA: Bartek [Kozielski – przyp. red.] ma zawsze swoją wizję, chce nagrać jakąś piosenkę i szuka do niej odpowiedniej osoby. Kiedy już odkryje ten idealny głos, szuka jego właściciela, najczęściej poprzez wspólnego znajomego lub z pomocą Facebooka.

MICHAŁ WĘGRZYŃSKI: Mnie Bartek „przydybał” w Tintilo. Mówiłem o *Nędznikach*, kiedy kazał mi zaśpiewać „to”, „coś innego” i później jeszcze „to”, po czym stwierdził: „no słuchaj, to spróbujemy”. Tak zaczęliśmy pracować razem.

Czy w takim razie istnieje szansa na dołączenie do Accantusa? Mnóstwo ludzi chciałoby u Was śpiewać.

DK.: Jeżeli ktoś jest utalentowany, lubi śpiew i czuje nasz styl, to wysyła Bartkowi próbki przez Internet. Wtedy on może sprawdzić, czy dana osoba mogłaby cokolwiek zaśpiewać i jeśli tak – zaprasza. Problem powstaje, gdy są to ludzie spoza Warszawy, bo nasza działalność nie wiąże się z opłacaniem nagrań. To jest wszystko robione „dla funu”, spełnienia swoich marzeń. Trudno jest zaprosić kogoś z drugiej części Polski tylko po to, żeby na chwilę zszedł do piwnicy coś zaśpiewać. Natomiast jeżeli komuś rzeczywiście zależy i Bartek widzi w kimś potencjał, wtedy to się zwykle udaje.

Chwileczkę – wszystkie filmiki, które możemy oglądać na Youtube są nagrywane w piwnicy?

DK.: Tak, w piwnicy o wymiarach dwa na dwa metry. Mieści się tam tylko biureczko. Żeby nie było słycać szumu komputera umieściliśmy go w domu na górze, zrobiliśmy dziurę do piwnicy, pociągnęliśmy kable i pod ziemią jest tylko klawiatura.

ZG.: Czasami zbiorówki nagrywamy gdzieś indziej, wtedy wokale ładnie się miksują. Trudno jest nagrać chór, wklejając pojedyncze ścieżki, osobno od każdej osoby, chociaż i to się zdarza. Wtedy Bartek zbiera wszystko w kompletną całość. Co trzeba zaznaczyć, nic nie jest poprawiane!

Ile czasu zabiera nagranie jednej piosenki?

DK.: Bardzo różnie. W przypadku piosenki solowej to jest dzień spędzony wspólnie – spotykamy się, opowiadamy sobie, o czym jest piosenka, na co zwrócić uwagę, jakie słowa są kluczowe, jakie są intencje śpiewającej ją postaci, co ona już przeżyła, a co ją jeszcze czeka – niektóre słowa już to zapowiadają. Nagrywamy w całości lub we fragmentach, zależnie od stopnia skomplikowania i klimatu piosenki – w nagraniu najczęściej uczestniczy Bartek i wokalista. Przy każdej produkcji jest też kilka osób takich jak ja, Jarek czy Adrian Wiśniewski, z którymi Bartek konsultuje się po nagraniu w sprawie dykcji, intonacji, interpretacji – bardzo ważne jest zewnętrzne oko. W przypadku zbiorówek proces nagrania jest o wiele dłuższy – zajmuje od kilku tygodni do kilku miesięcy, bo prawie nigdy wykonawcy nie spotykają się na raz, wszystko jest oddzielnie układane jak w puzzlach.

Skąd pomysł na piosenki z musicali i bajek Disney’a? To ryzykowny wybór.

DK.: Jeden lubi colę, drugi pepsi, jeden sport, drugi teatr, jeden lubi

muzykę klasyczną, drugi musical. Bartek jest tym, który kocha musical, po prostu. Chce, żeby nieznane w Polsce piosenki z Broadwayu, West Endu, polubiło jak najwięcej ludzi, tak jak on je uwielbia. Tu pojawia się problem językowy – śpiewamy tylko po polsku, a tłumaczeń tekstów często brakuje. Dlatego Bartek znalazł mnie. Nad polskim tekstem pracujemy razem, tzn. ja go piszę, a potem on mówi, co jest złe. Wysoko postawiliśmy sobie poprzeczkę, bo nie przekraczamy żadnych granic, które na początku sobie wyznaczaliśmy. Uznaliśmy, że nasze piosenki mają brzmieć tak, jakby ktoś je mówił, jakby czuł, myślał, rozmawiał. Często nie jestem zupełnie wierna temu, co pierwotnie jest w piosence. Wiadomo, myśl przewodnia jest ta sama, natomiast słów używam zupełnie innych.

Historia piosenek z *Afery...* jest niesamowita, bo tylko kilka z nich jest w większości wierna oryginałom, każda ma coś ode mnie. Polacy mają inną wrażliwość i w nią zawsze staram się trafić. Nie dopuszczam transakcentacji, nie używam żadnych archaizmów. Ba! Staram się, żeby piosenka, była dopasowana do śpiewającego ją wokalisty. Biorę pod uwagę to, czy lepiej mu się śpiewa długie lub wysokie dźwięki na „a” na „e” czy na „o”. Potrafię dobrać odpowiednie słowo dla odpowiedniego wykonawcy.

ZG.: Bez Doroty wiele rzeczy by się nie udało. Nie byłoby tekstów ani wsparcia emocjonalnego. Co innego pilnowanie dobrej kondycji głosu, a co innego dbanie o kondycję nas – ludzi. Ona z nami wspaniale rozmawia. Nie dość, że jest nieodłączną częścią studia, to jest naszym przyjacielem.

N.P.: Piosenka musicalowa to rodzaj piosenki aktorskiej i oprócz tego, że jest dźwięk, jest też słowo, które, moim zdaniem, jest dużo ważniejsze, bo przekazuje treść. Dbłość o szczegóły to też w dużej mierze zasługa Bartka, który podczas nagrań milion razy nam przerywa i mówi, co jest nie tak. On jest naszym guru, mimo że jest młodszy.

Łatwo jest się podporządkować?

M.W.: W zawodzie, który mam przyjemność od jakiegoś czasu uprawiać, bardzo często jest się krytykowanym. Każda osoba, która jest widzom, słucha i obserwuje to, co ja wykonuję, może mnie ocenić. Bywa to nieprzyjemne, ale zdaję sobie sprawę, że czasem tylko wydaje mi się, że rewelacyjnie zagrałem, świetnie zaśpiewałem, że był pogrom, a okazuje się, że to nie trafiło do widza. I od tego jest reżyser – Bartek. Co z tego, że jest młodszy? On słyszy. Robi rzeczy, które mu się podobają, nie nastawia się od początku na sukces.



DOROTA KOZIELSKA
– niezastąpiona accantusowa mama. Przetłumaczy każdy tekst tak, aby miał w sobie prawdziwe mięcho. W międzyczasie porozmawia i zaprosi na obiad, bo drzwi jej domu się nie zamykają.



BARTEK KOZIELSKI
– rzadko siedzi dłużej niż pięć minut. Założyciel i pomysłodawca Studia Accantus, człowiek od wszystkiego, reżyser, dźwiękowiec, nauczyciel i świetny kumpel.



MICHAŁ WĘGRZYŃSKI
– gra, śpiewa i dużo się śmieje. W *Aferze...* gra cesarza Franciszka Józefa. Czasami zapomina tekstu, ale to dlatego, że niosą go emocje. Uwielbia skecze Kabaretu Starszych Panów.



ZUZANNA GIERCZYCKA
– socjolog, wokalistka. Miłośniczka Grzegorza Turnaua, Ewy Demarczyk, kotów i oczywiście śpiewu. Robi to, co kocha i tego nie żałuje.



NATALIA PIOTROWSKA
– nie daje sobie odpocząć. Gra w spektaklach, jest cały czas w rozjazdach, ale na Accantusa zawsze znajduje czas. W *Aferze...* wciela się w arcyksiężną Stefanię, każdą piosenką wzbudzając morze braw.

Gdyby jednak nie miał intuicji, to nie byłoby tego sukcesu.

D.K.: To prawda, bardzo się rozwijamy. W zeszłym roku mieliśmy 3 000 odsłon dziennie, co było dla nas oszałamiające. Teraz jest ich 70 000-80 000 dziennie. Jesteśmy zszokowani i podekscytowani każdym komentarzem, wzruszają nas one do łez, cieszymy się z każdego słowa, ale nie jesteśmy w stanie na wszystkie odpisać. Co

niesamowite – przypomina podłączenie do prądu i otrzymanie nowej dawki energii.

Czym zajmujecie się, kiedy nie gracie *Afery Mayerling*?

N.P.: Przygotowuję teraz spektakl *Legalna blondynka* w Krakowie w Teatrze VARIETE. Dodatkowo studiuję kryminologię na Uniwersytecie

Warszawskim. Powinna pisać teraz pracę magisterską, ale w związku z tym, że pojawił się Kraków, odłożyłam to na później.

M.W.: Jestem aktorem. Jeżdżę po całej Polsce z teatrem objazdowym z Wrocławia, dużo gram – dajemy czasem trzy spektakle dziennie.

Z.G.: Uczę się w szkole muzycznej, pracuję w Decathlonie. Przygotowuję się do ślubu, który biorę za dwa miesiące, więc trochę na głowie mam. Bardzo chciałabym związać swoją przyszłość z muzyką i to jest pewnie marzenie każdego z nas, część już je realizuje. Ja jestem najbardziej zielona jeżeli chodzi o wchodzenie w ten świat, ale mam nadzieję, że uda mi się pójść w ich ślady.

Kto zaśpiewa na Twoim ślubie?

Z.G.: Zespołu nie będę miała, ale jeżeli moi accantusowi coś wymyślą, będzie rewelacyjnie. Bo oczywiście wszyscy są zaproszeni.

Jaka przyszłość czeka zespół Accantus?

D.K.: Marzy nam się rozszerzenie działalności. Marzy nam się własny musical... ale o tym na razie cicho-sza!

■ Rozmawiali Anna Buczkowska i Aleksander Pawlik

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



jednak gwarantujemy – wszystko czytamy, oglądamy i słuchamy.

Z.G.: Nadal nie mogę uwierzyć w rzeczy, które dzieją się dookoła nas. Kiedy po piosence, która wymaga mnóstwo energii emocjonalnej, idę za scenę, a potem wychodzę na ukłony, jestem zmęczona. Najchętniej położyłabym się do łóżka. Ale kiedy widzę ludzi, którzy przyjechali po to, żeby móc chwilę z nami pożyć i uszczknąć na żywo kawałek tego, co im dajemy poprzez Youtube... nie marudzę. Wchodzę do pomieszczenia, w którym mamy się spotkać z fanami i czuję się jak nowonarodzona. To

Wojna na mikrofon i gitarę



PRZYBIJ PIĄTAKA TO NOWY KLUB MUZYCZNY ZAŁOŻONY PRZEZ PRZYJACIOŁ DLA PRZYJACIOŁ. MOŻE WŁAŚNIE DLA-
TEGO KAŻDY MOŻE POCZUĆ SIĘ TAM SWOBODNIE, JAK U STAREGO ZNAJOMEGO – ROZSIĄŚ SIĘ NA KANAPIE, WYPIĆ
DOBRE PIWO I... POSŁUCHAĆ NAJLEPSZYCH MŁODYCH WROCŁAWSKICH KAPEL.

Łukasz Kasztelan, otwierając Przybij Piąta-
ka, chciał spełnić swoje marzenie o prowa-
dzeniu klubu muzycznego. Sam kiedyś grał
w zespole, dlatego chętnie współpracował
z młodymi artystami, którzy chcieli zagrać
na jego scenie. Jednak, jak mówi dzisiaj
– zrozumiał, że to za mało. Dlatego przy
wspieraniu studia muzycznego Disease posta-
nowił stworzyć projekt, który wesprze mło-
de zespoły i pomoże w ich rozwoju.

Każdy nowy zespół marzy standardo-
wo o tym samym – o koncertach, płytach,
trasach i wielkiej sławie. Rzeczywistość jak
zwykle szybko stawia na nogi – ciężko jest
się wybić, zostać zauważonym. Niezbędny
jest do tego nie tylko talent, samozaparcie,

ćwiczenia, ale i... odrobina szczęścia. Ten
ostatni składnik dostarcza Wojna Kapel.

Jedna edycja Wojny Kapel trwa pół roku.
Pierwsza rozpoczęła się w maju i potrwa do
początku lipca. Co wtorek na scenie Przybij
Piąta-ka będą rywalizować ze sobą dwa ze-
społy, na które będzie można głosować za
pośrednictwem aplikacji na Facebooku oraz
podczas trwania koncertów. Głos oddany
przez aplikację liczy się jako jeden punkt,
natomiast oddany w klubie jako dwa punk-
ty. Kapela, która zdobędzie więcej głosów,
przejdzie do finału miesiąca. W finale mie-
siąca zobaczymy zwycięzców cotygodnio-
wych zmagania walczących o bilet do ćwierć-
finału. Ostatni miesiąc edycji to już bitwy
o podium – ćwierćfinały, półfinały i osta-
teczne rozstrzygnięcie konkursu.

Klub Przybij Piąta-ka wyposażony jest
w profesjonalny sprzęt nagłaśniający, więc
uczestnicy nie muszą go sobie samodzielnie
zapewniać. Nagrodą główną jest możliwość

nagrania dwóch utworów w wersji demo
oraz otrzymanie tytułu najlepszej kapeli.
Organizatorzy wciąż przyjmują zgłoszenia,
wystarczy napisać do nich na facebooko-
wym fanpage'u lub wysłać e-mail na adres
przybijpiataka@gmail.com. Może więc dość
już z garażowym graniem i występami na
lokalnych festynach – Wojna Kapel daje
młodym zespołom szansę na pokazanie się
publiczności, poszerzenie grona fanów i wy-
promowanie swojej działalności.

Oczywiście Wojna jest przeznaczona nie
tylko dla kapel – bez słuchaczy granie nie ma
sensu. Dlatego Przybij Piąta-ka serdecznie
zaprasza widzów na muzyczną ucztę. Przy
napojach i przekąskach (każde za pięć zło-
tych) będzie można zrelaksować się i posłu-
chać nowych, świeżych pomysłów, serwowan-
ych prosto od ich twórców. Dobry koncert
w gronie znajomych – brzmi kusząco?

■ Anna Buczkowska

PRZYBIJ PIĄTAKA Z ŻAKIEM: KUPON NA PIWO ZA 3 ZŁ!!!



Burza

W MAJOWYM REPERTUARZE TEATRU POLSKIEGO FIGURUJE SZTUKA SZEKSPIRA *BURZA*, W REŻYSERII KRZYSZTOFA GARBACZEWSKIEGO. PRZEDSTAWIENIE WYSTAWIANE JEST NA SCENIE IM. JERZEGO GRZEGORZEWSKIEGO WE WROCŁAWIU. W ROLI PROSPERO SPOTKAĆ MOŻEMY EWĘ SKIBIŃSKĄ.

Należy zacząć od początku, a więc od tego, co widzimy jeszcze przed rozpoczęciem pierwszego aktu. Scena wraz ze scenografią wygląda dosyć ponuro: czarna płachta materiału imitująca niebo, które ma dać do zrozumienia, że historia dzieje się w miejscu dzikim, surowym i obcym. Na wyspie zamieszkaną przez garstkę wygnańców szaleje burza z grzmotami i piorunami.

W dalszej kolejności słyszymy monolog wypowiadany przez mężczyznę o głębokim, donośnym głosie. Język, którym wypowiada kwestie, jest zupełnie niepodobny do XVII-wiecznego języka sztuki. Jeśli ktoś chciałby zobaczyć Szekspira w postaci czystej i nienapełnionej duchem współczesności, dozna wielkiego zawodu, bowiem sztuka naszprycowana jest wstawkami, na które składają się rozmowy poza

sceną, wyświetlane na wielkim materiałowym ekranie projekcyjnym rozciągniętym nad głowami widzów. Nie do końca jasne jest dla mnie, o czym aktorzy mówili: były przekleństwa, jakieś nic nie wnoszące sentencje... obraz zagmatwany i niespójny.

Prospero szalejący na scenie – przyznaję – robił wrażenie. Pani Ewa Skibińska dała z siebie wszystko, całkowicie obnażyła się przed widownią. Jej gra była niewymuszona, niezwykle płynna i lekka. Jako kobieta w roli mężczyzny wniosła do tej sztuki inność.

Burza Szekspira przez wieki była niedoceniana, początkowo uważano ją za komedię, w późniejszych czasach nazwano ją romansem. Prawdą jest jednak, że jeden z ostatnich utworów, jakie napisał Szekspir przed śmiercią, zasługuje na miano największego

dzieła dramaturga. I mimo że mnie osobiście przedstawienie nie urzekło, publiczność długo biła brawa, a aktorzy na scenie patrzyli na widownię tak, jakby nie wierzyli, że rzeczywiście współtworzyli przez te dwie godziny coś zasługującego na aplauz.

Samo przebywanie w sali pękającej w szwach od ludzi zajętych kontemplowaniem sztuki było rzeczą przyjemną. Móc zobaczyć ucharakteryzowane twarze ludzkie na scenie również do rzeczy nieprzyjemnych nie należy. Same superlatywy, a do tego bilety są niedrogie i łatwo je kupić przez Internet, więc zadbajmy o swoją wrażliwość i zmysł dobrego smaku, pozwólmy, aby w każdym z nas obudził się esteta i propagator kultury wyższej.

■ Kinga Idasiak

Abecadło filmowe

E DEBIUTANCKI FILM ALEXA GARLANDA *EX MACHINA* TO THRILLER SCIENCE FICTION, PORUSZAJĄCY PROBLEM ETYCZNY, PRZED KTÓRYM PRĘDEJ CZY PÓŹNIEJ STANIE KIEDYŚ LUDZKOŚĆ – CZY ANDROIDY MOGĄ BYĆ TRAKTOWANE NA RÓWNI Z CZŁOWIEKIEM? MIMO ŻE POWSTAŁO JUŻ MNÓSTWO PRODUKCJI OPOWIADAJĄCYCH O ROBOTACH, KTÓRE POSIADAJĄ LUDZKIE UCZUCIA, *EX MACHINA* TUZINKOWA Z PEWNOŚCIĄ NIE JEST.

W akcję dajemy wciągnąć się wraz z pierwszymi minutami filmu, podczas których informatyk jednej z firm wygrywa konkurs dla pracowników i w nagrodę zostaje zaproszony do rezydencji szefa – genialnego wizjonera mieszkającego na kompletnym odludziu. Na miejscu Caleb (Domhnall Gleeson) zostaje wtajemniczony w sekretne eksperymenty, którego ma zostać częścią. Poznaje w ten sposób Avę (Alicia Vikander) – androida stworzonego

przez Nathana (Oscar Isaac), odbywa z nią rozmowy, na podstawie których, na bazie testu Turinga, będzie można stwierdzić, czy zachowanie Avy jest na tyle ludzkie, by zapomnieć, że ma się do czynienia ze sztuczną inteligencją. Początkowo fascynujące dla Caleba badanie, staje się coraz bardziej skomplikowane i rodzi więcej pytań niż odpowiedzi. Czy wystarczy, by maszyny potrafiły imitować ludzkie reakcje, aby traktować je na równi z rasą ludzką?

Czy jeżeli potraktujemy je na równi, przerabianie i ulepszanie już istniejących jest czymś niemoralnym? Myślę, że pod koniec seansu możecie mieć problem z udzieleniem odpowiedzi na powyższe pytania.

Ex Machina to teatr trzech aktorów, którzy sprawili, że kameralne dzieło z ciekawie brzmiącą ścieżką dźwiękową jest bardzo udanym thrillerem, ale nie tylko – może się również stać podstawą dyskusji o naturze etycznej.

F BYCIE ARTYSTĄ JEST TRUDNE. WALKA O WENĘ, CHĘCI I JAKO TAKIE BRZMIENIE NIERAZ PRZYĆMIEWA RADOŚĆ TWORZENIA. *FRANK LENNY'EGO ABRAHAMSONA* DOSKONALE POKAZUJE GRUPĘ MUZYKÓW PRÓBUJĄCYCH BEZSKUTECZNIE NAGRAĆ NOWY ALBUM.

Jon (Domhnall Gleeson) – klawiszowiec nieudolnie nagrywający własne utwory, zostaje z przypadku członkiem dość ekscentrycznego zespołu. Wokalistą jest tytułowy Frank (genialny Michael Fassbender), który boryka się z ostrą fobią społeczną – odwagi dodaje mu noszenie sztucznej głowy jako formy muru oddzielającego go od reszty

ludzi. Darzy Jona sympatią i liczy się z jego zdaniem, w przeciwieństwie do pozostałych, którzy traktują go z góry.

Abrahamson wprowadza nas do świata muzyki eksperymentalnej, w którym hasło „sztuka dla sztuki” jest jak najbardziej aktualne, choć pokazany proces tworzenia odnosi się także do innych rodzajów sztuki i sprawia,

że uświadamiamy sobie, że potrzeba wiele czasu i wyrzeczeń, by cokolwiek stworzyć.

Frank to słodko-gorzka opowieść o pasji, walce z samym sobą i swoimi słabościami, a także szukaniu siebie – czyli tym wszystkim, co mamy za lub jeszcze przed sobą.

■ Monika Całusińska

„Halo! Andrzej? Mówi Andrzej” czyli DKF na szlaku statuetek

CYKL TEGOROCZNYCH SPOTKAŃ DKF-U ZAKOŃCZYMY W CZERWCU KINEM EUROPEJSKIM. GŁODNYM KINA WIDZOM ZOSTAWILIŚMY NA DESER MARATON FILMOWY NA DACHU SKS-U.

W KRĘGU MIŁOŚCI

REŻ: FELIX VAN GROENINGEN
(DATA POKAZU: 12.06.2015 R.)

12 czerwca jest dniem projekcji *W kręgu miłości*. Belgijski dramat z roku 2012 to źródło silnych emocji, dzieło pobudzające widza do odczuwania i empatii. Głównych bohaterów, o imionach Elise i Didier, spaja miłość do muzyki, temperament i – paradoksalnie – indywidualizm. Ich niezależność wyraża się w licznych tatuażach, komponowanej z pasją muzyce oraz w nieusankcjonowanym prawnie związku. Owocem ich namiętności jest córka Maybelle. Niestety, scenariusz filmu pokazuje, że życie często nie znosi sielanki niepodlegającej upływowi czasu. Nie spodziewanie ich życie zmienia się wraz ze zdiagnozowaniem choroby nowotworowej u dziewczynki. Reżyser na szczęście ucieka od schematów, tworząc film nieszablony, będący dziełem realistycznym, pozbawionym telenowelowych rozwiązań. Para przeżywa kolejne wydarzenia w charakterystyczny dla siebie sposób, nie brak tu będzie wzajemnego obwiniania się i agresji. Po zetknięciu się z ich historią trudno będzie powtórzyć słowa, że cierpienie uszlachetnia. Opis filmu nie byłby spójny, gdyby nie wspomniano o muzyce. Bluegrass, gatunek muzyki przypominający country, będzie towarzyszył widzom, a także wspólnie grającym w zespole Elise i Didierowi.

MARATON FILMÓW TRASHOWYCH:

(DATA POKAZU: 13.06.2015 R.)

1. WŚCIEKŁE PIĘŚCI WĘŻA

REŻ. BARTOSZ WALASZEK

2. SARNIE ŻNIWO

REŻ. BARTOSZ WALASZEK

3. BUŁGARSKI POŚCIKK

REŻ: Z.F.SKURCZ

Dzień później spotkamy się na maratonie filmów trashowych. Dzieła klasy Z zawsze budzą skrajne emocje, od fascynacji do pogardy. Nie można im jednak odmówić olbrzymiego wpływu na popkulturę. Potrafią

inspirować; można tu przywołać postać Quentina Tarantino, który czerpie garściami z tego nurtu. Jest to najczęściej filmowy underground; tylko fani gatunku mogli cieszyć oczy perełkami takimi jak *Nazistowscy surferzy muszą umrzeć*; lecz czasami powstają też dzieła, które nie są jedynie nagromadzeniem absurdu i prostego, dosadnego humoru. Z filmów ambitniejszych warto wymienić chociażby (pisane bez ironii, choć tytuł może zmylić) *Morderczą oponę*, będącą genialną satyrą i pastiszem na kino grozy oraz bezmyślną, niewymagającą widownię.

Jednak, co pokażemy na maratonie, filmy trashowe to specjalność nie tylko kinematografii amerykańskiej. Wyświetlone zostaną rarytasy znad Wisły: *Wściekłe pięści węża*, *Sarnie żniwo* i *Bułgarski pościkk* autorstwa Z.F. Skurcz. To projekt założony przez braci Walaszków, którzy szerszej widowni mogą być znani z kresówek 4fun.tv, takich jak *Kapitan Bomba*, *Pies Leszek* czy *Generał Italia*.

Dwie pierwsze pozycje to część trylogii *Wściekłe pięści węża*. Film o tym tytule to opowieść o zmęczonym swoją dotychczasową pracą gangsterze-najemniku, który jest zmuszony wrócić do świata przestępczego. Chce pomścić śmierć swojego brata bliźniaka. W tle kakao, dresiarze i komizm w najgłępszym i najlepszym wydaniu.

Sarnie żniwo, czyli *pokusa stauetkowego szlaku* wyróżnia się jako najbardziej sensacyjny film Z.F. Skurcz. Krew, szaleńcze walki wręcz, pościgi, a przede wszystkim morderstwa z zimną krwią. Widz, bombardowany akcją, wciągnięty zostaje w fabułę pełną intryg. Źródłem porachunków gangsterskich tym razem będzie szlak przemytników statuetek. Te przedmioty o niesłychanej wartości i tajemnej mocy kuszą panów Andrzejów, którzy jeszcze bardziej bezwzględnie niż w poprzedniej części toczą walkę o przejęcie mafijnego zwierzchnictwa nad szlakiem przemytniczym. W takiej sytuacji rozstrzygający głos – i pięść – może mieć tylko Tytanowy Janusz. Uwaga! Tylko dla widzów o mocnych



nerwach, współczynnik morderstw z zimną krwią jest wyższy niż w *Grze o tron*.

Należy dodać, że filmy te są niezwykle interesujące pod względem muzycznym. W pierwszej części przegód wąsatych gangsterów usłyszymy przede wszystkim autorskie kompozycje o bałkańsko-wschodnich melodiach oraz

kabaretowo-absurdalnych tekstach o skali groteski porównywalnej z *Latającym Cyrkiem Monty Pythona*. Od pierwszej zagranej nuty wpadają w ucho, a po seansie każdy z sentymentem zanuci pod nosem „Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma”. Niepowtarzalny soundtrack nie jest dziełem przypadku – bracia Walaszek zasłynęli jako wirtuozi zespołu Figo-Fagot, natomiast Z.F. Skurcz od lat współpracuje z Kazikiem. Będziemy mieli okazję zobaczyć go na ekranie, gdy jako przemytnik statuetek podśpiewuje pod nosem parodię jednej ze swoich najbardziej znanych piosenek.

Maraton kończymy rarytatem z porywającym tytułem, zwiastującym niebanalną rozrywkę. *Bułgarski pościkk* utrzymany jest w konwencji poprzednich filmów. Obfituje w akcję oraz dopracowane, choć groteskowe, sceny batalistyczne. Ostrzegamy – ilości krwi nie powstydziłby się sam Robert Rodriguez. Jedno jest pewne – jeśli szukacie Państwo polskiego Bonda, to dobrze trafiliście. Bułgarski wywiad między warszawskimi blokowiskami poszukiwać będzie zdrajcy – brata syjamskiego ambasadora, któremu grozi śmierć z powodu mikrofilmu z kompromitującymi materiałami.

Jeśli chcecie razem z DKF-em ruszyć szlakiem statuetek, stawić czoła krwiożerczym sarnom i poznać Molibdenowego Mateusza, nie czekajcie – trzynasty czerwca to najlepszy dzień na taką przygodę. Maraton nie jest dla każdego, warto wziąć pod uwagę, czy odpowiada nam ten wyśmienity, lecz jednak absurdalny typ czarnego humoru. Spragnionych dalszych wrażeń zapraszamy już od października na kolejny odsłone czwartkowych (i nie tylko) pokazów Dyskusyjnego Klubu Filmowego Politechnika.

■ Anna Stachowiak

Opowieści z kuliNarnii

Luźniejszy czwartek i wielkie porządki poskutkowały burgerami na kolację. Pieczenie bułek wcale nie jest trudne!

WEGEBURGERY Z DOMOWYMI BUŁECZKAMI:

Składniki na bułki:

- 1,5 szklanki wody z mlekiem (pół na pół);
- 3 szklanki mąki;
- 0,5 szklanki otrębów;
- 2 łyżki oliwy;
- 20 g drożdży;
- sól, cukier.

Składniki na nadzienie:

- 1 szklanka czerwonej soczewicy;
- 2 szklanki wody;
- około 0,5 szklanki suchej kaszy kukurydzianej ;
(lub kaszy manny);
- jajko ;
- papryka słodka, chilli, sól, pieprz, majeranek,
curry, czosnek granulowany;
- bułka tarta lub otręby do panierowania.



FOT. KAROLINA WODNIK

Przygotowanie:

■ Karolina Wodnik

1. Mąkę mieszamy z otrębami w misce, wkruszamy drożdże, zalewamy szklanką wody z mlekiem, dodajemy około łyżeczki cukru i zostawiamy do wyrośnięcia.
2. Dodajemy oliwę i sól, wyrabiamy miękkie, elastyczne ciasto, w razie potrzeby dolewając wody.
3. Formujemy bułeczki (7 dużych lub około 10 mniejszych). Zostawiamy na chwilę do wyrośnięcia, smarujemy pozostałą wodą z mlekiem i posypujemy otrębami lub sezamem.
4. Bułki pieczemy 15-20 minut (w praktyce – aż się zrumienią) w 180°C.
5. Przygotowujemy nadzienie: soczewicę gotujemy w wodzie do miękkości, a nawet do lekkiego rozgotowania.
6. Zdejmujemy z ognia, do gorącej dodajemy kaszę kukurydzianą lub mannę, w ilości takiej, aby zagęścić soczewicę na tyle, aby dało się z niej formować kotlety. Zostawiamy do ostygnięcia.
7. Dodajemy jajko, w razie potrzeby dosypujemy więcej kaszy i doprawiamy wedle uznania.
8. Panierujemy w otrębach lub bułce, smażymy na rozgrzanym oleju aż będą rumiane.
9. Bułki przekrawamy na pół i nadziewamy kotletami.

Sudoku

	5			3				8
1					7	3		
	7			1	6			
2		1			5			
				9				
			1			6		5
			9	6			5	
		6	2					7
5				8			2	

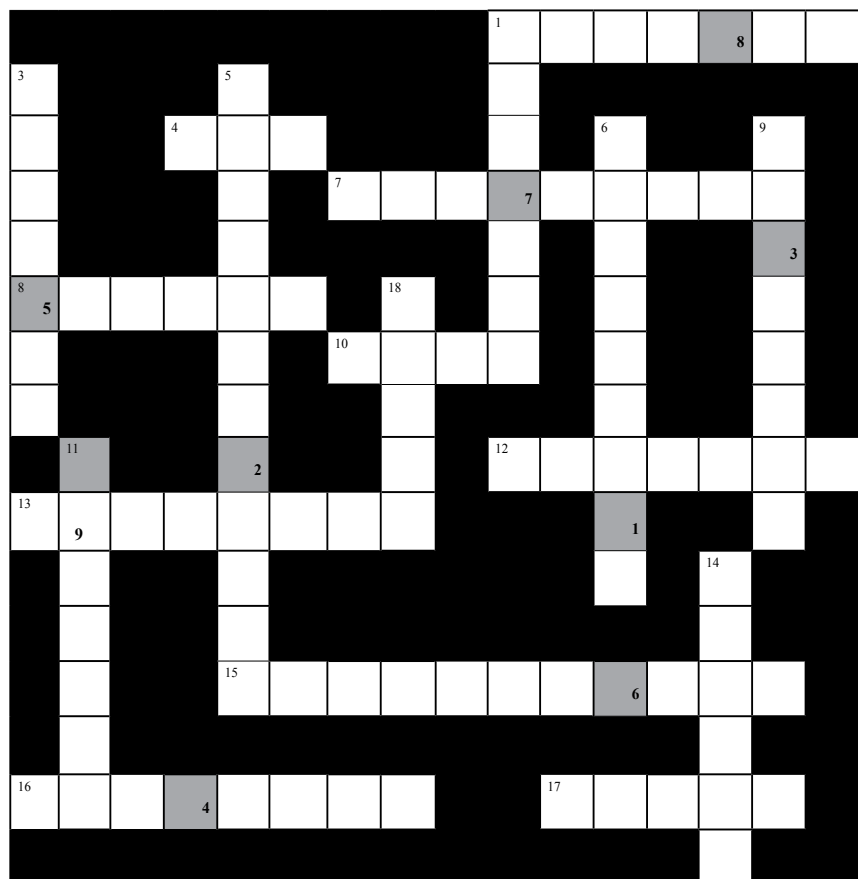
■ Aleksandra Mizgała

Krzyżówka

W tym numerze kolejna „wydziałowa” krzyżówka. Tym razem dotyczy ona Wydziału Elektrycznego. Litery hasła stanowią kolejno wyróżnione szarym kolorem pola. Dla jednej z osób, które poprawnie rozwiążą krzyżówkę, mamy drobny upominek. Aby wziąć udziału w jego losowaniu, wystarczy wysłać hasło mailem na adres konkurs@zak.pwr.wroc.pl, w temacie wpisując „krzyżówka”. Na zgłoszenia, zawierające odpowiedź oraz dane kontaktowe, czekamy do końca czerwca. Regulamin konkursu dostępny jest na stronie: www.zak.pwr.wroc.pl.

Powodzenia!

■ Ewelina Szwal



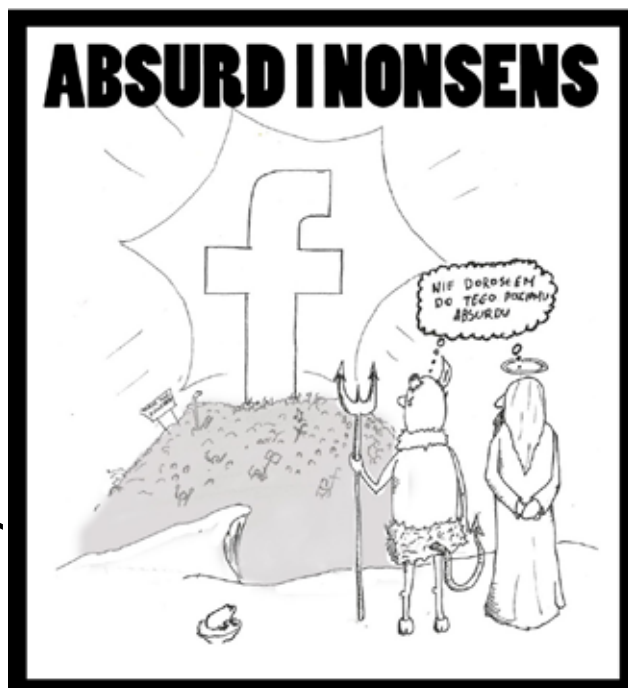
PIONOWO:

1. Prowadzi prąd elektryczny.
3. Tworzą go rozwijające się lawiny wyładowania elektrycznego.
5. Część urojona admitancji.
6. Twórca dwóch bardzo ważnych praw dotyczących obwodów elektrycznych.
9. Urządzenie zmieniające prąd stały na prąd zmienny.
11. Nagłe zmniejszenie rezystancji obwodu prawie do zera.
14. Obok stojana.
18. Układ do mierzenia mocy czynnej z dwoma watomierzami.

POZIOMO:

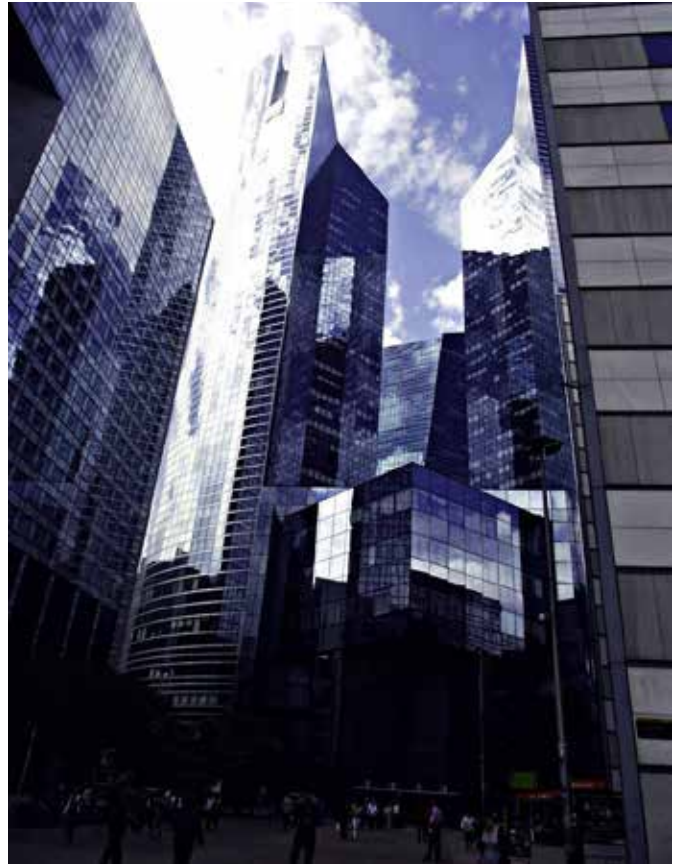
1. Moc, która jest sumą geometryczną mocy czynnej i biernej.
4. Elektryczny. Zjawisko przepływu prądu w powietrzu lub gazie, lub rodzaj broni.
7. Oprócz składowej zgodnej i zerowej w układzie trójfazowym.
8. By móc nim poprawnie mierzyć, musi być w równowadze.
10. Ładunek przez czas.
12. Uzwojenie umieszczone zwykle w stojanie maszyny synchronicznej.
13. Inaczej cewka.
15. Włączany szeregowo.
16. Wzrost amplitudy drgań układu.
17. Ważna temperatura dla ferromagnetyków.

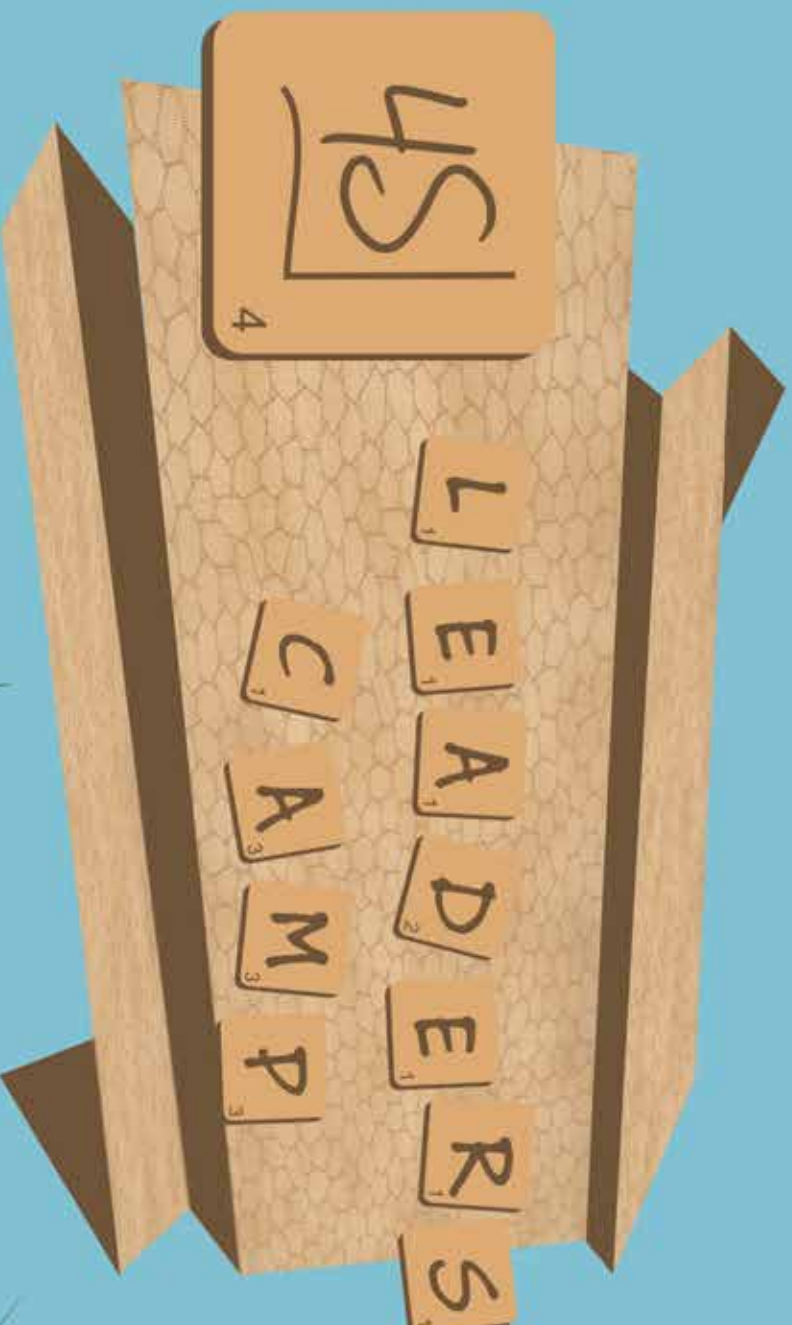
Satyra
rysuje Adam Sterniuk



Paris, Paris!

■ fot. Kamila Kożuszek





23-27 września

45.pwr.edu.pl/camp



Stowarzyszenie
Studentów Politechniki
Wodowskiej



SAMORZĄD
STUDENCKI



Politechnika
Wodowska



Zak

Ministerstwa Edukacji
i Nauki



NAPW